

## WYDARZENIA W KLASZTORZE DOMINIKANÓW W PODKAMIENIU W LATACH 1943–1944

### Wprowadzenie

Podkamień to niewielka miejscowość na Podolu, należąca w okresie międzywojennym do powiatu Brody (15 km od tego miasteczka) w województwie tarnopolskim (ok. 50 km od tego miasta), w łacińskiej archidiecezji lwowskiej. Słynęła ona z klasztoru i kościoła dominikanów, którego początki późniejsza tradycja wiązała ze św. Jackiem i wspominała o rzekomych męczennikach, przeorze Urbanie i 12 braciach, którzy zginęli z rąk Tatarów w XIII w. W rzeczywistości pierwszym śladem starań o założenie tam klasztoru, jest zgoda kapituły prowincjalnej polskich dominikanów z roku 1478 na przyjęcie ofiarowanej tam przez Piotra z Cebrowa kaplicy dla założenia przy niej klasztoru<sup>1</sup>. Na stałe jednak osiedli tam na początku XVII w. na zaproszenie właściciela tego miejsca Baltazara Cetnera. Położony na wzgórzu klasztor, z czasem coraz bardziej rozbudowany, otoczony warownymi murami należał w XVIII w., w okresie swej największej świetności, do największych w Prowincji Ruskiej Zakonu. Przez pe-

\* Wykaz skrótów zastosowanych w przypisach znajduje się na końcu tomu, przed spisem treści.

<sup>1</sup> *Acta Capitulum Provinciae Poloniae Ordinis Praedicatorum*, vol. I (1225–1260), ed. R. F. Madura, Roma 1972 s. 108. Jedynym opracowaniem historii tego klasztoru pozostaje po dziś dzień książka S. Barącz, *Dzieje klasztoru WW. OO. Dominikanów w Podkameni*, Tarnopol 1870. Zob. też Tegoż, *Rys dziejów zakonu kaznodziejskiego w Polsce*, t. 2, Lwów 1861 s. 467–493.

wien czas był nawet siedzibą studium teologii. W roku 1756 było w nim 37 ojców, w tym 13 studentów miejscowego studium, 19 braci studentów i 24 braci konwersów<sup>2</sup>. Przede wszystkim był klasztor znany sanktuarium gdzie znajdował się jeden z najwcześniejszych, bo już w roku 1727, koronowanych cudownych obrazów Matki Bożej.

Dominikanie prowadzili parafię obrządku łacińskiego obejmującą Podkamień raz wsie i przysiółki: Bolesławów, Czernięć, Dudyn, Jaśniszcze, Kutyszcze, Maliniska Michałowka, Nakwasza, Niemacz, Orzechowczyk, Palikrowy, Pańkowce, Popowce, Styberówkę, Tetylkowice i Wierzbowczyk. W 1936 r. na terenie łacińskiej parafii podkamińskiej mieszkało 5388 katolików obrządku łacińskiego, 8730 obrządku greckiego, 1010 wyznawców judaizmu i 250 innych. Oprócz kościoła w Podkamieniu były jeszcze łacińskie kaplice w Jaśniszczach, Czernicy i Palikrowach, zaś w Podkamieniu siostry służebniczki NMP prowadziły przytułek. Na tym samym terenie istniały parafie greko-katolickie w Podkamieniu, Nakwaszy, Niemiaczu, Palikrowach. Pieniakach, Popowcach. W najbliższej okolicy, której dotyczy relacja ojca Burdy, była także parafia w Pieniakach z kaplicą filialna w Hucie Pieniackiej. Jako właściciel sporych posiadłości ziemskich, klasztor podkamiński sprawował jeszcze w okresie międzywojennym patronat nad parafią łacińską w Gołogórach i nad parafią greko-katolicką w Ponikowicy Małej<sup>3</sup>. Sanktuarium podkamińskie przyciągało także wiernych obrządku greko-katolickiego, zwłaszcza od 1772 r., kiedy w wyniku rozbioru Polski, po stronie rosyjskiej znalazła się pobliska Ławra Poczajowska, rychło zresztą oddana mnichom prawosławnym.

Klasztor podkamiński, podobnie jak pięć innych z dawnej prowincji ruskiej, przetrwał okres kasat i rozbiorów, choć jedynie mury świadczyły o dawnej świetności. Zresztą i one były dotknięte zniszczeniami; przez całe dwudziestolecie nie zdołano usunąć zniszczeń z okresu wojny światowej — stąd owa ruina, która wspomina relacja o. Burdy. Mimo trwających przez cały okres międzywojenny wysił-

<sup>2</sup> *Series et ordo Conventu et Domorum Provinciae Rusiae Sacri Ordinis Praedicatorum cum expressione Religiosorum in illis degentium, nec non eorum graduum et officiorum*, Archivum Generale OP w Rzymie, XIV, fondo libri, liber LLL pars III k. 952 r – 953 r.

<sup>3</sup> *Schematismus Archidioecesis Leopoliensis Ritus Latini MCMXXXVI*, Leopoli 1936 zvl. s. 56; oraz *Шематизм гр. кат. Духовенства Львівської Архієпархії на рік 1927* річник LXXIII, Львів [1927] s. 38, 192–198.

ków powrotu do innych ośrodków w Polsce, w Archidiecezji Lwowskiej w chwili wybuchu II wojny światowej znajdowało się proporcjonalnie najwięcej, bo aż sześć klasztorów dominikańskich<sup>4</sup>. Także tam wraz z całym społeczeństwem dzielili trudny los, który przypadł im po wybuchu II wojny światowej i z nastaniem sowieckiej i niemieckiej okupacji. Najtragiczniejsze doświadczenia spadły na klasztory w Czortkowie i Podkamieniu. W Czortkowie w nocy z 1 na 2 lipca 1941 r. uciekający z miasta przed Niemcami enkawudyści zamordowali wszystkich dominikanów (czterech ojców, trzech braci i jednego terejarza) przebywających w tamtejszym klasztorze. Wymordowano też wówczas wszystkich więźniów w tamtejszym więzieniu, Ukraińców i Polaków, zatrzymanych głównie z powodów politycznych<sup>5</sup>. Zupełnie inny charakter, czystek narodowych, miały wydarzenia w Podkamieniu i w okolicy na przedwiośniu 1944 r. Zginęło tam wówczas 345 osób.

W zbiorach Archiwum Polskiej Prowincji Dominikanów w Krakowie zachowała się relacja o nich, którą niżej drukujemy. Autor tej relacji o. Józef (Kazimierz) Burda urodził się w miejscowości Swory, pow. Biała Podlaska, dnia 23 marca 1905 r. Ukończył seminarium nauczycielskie (1924 r.) i następne cztery lata spędził w szkole Podchorążych w Berezie Kartuskiej. W roku 1928 podjął pracę nauczyciela, a w roku 1930 wstąpił do nowicjatu dominikanów w Krakowie, gdzie 6 sierpnia 1931 złożył pierwsze śluby zakonne. Świecenia kapłańskie otrzymał z rąk ks. bpa Eugeniusza Baziaka we Lwowie dnia 29 czerwca 1936 r. Do 1939 r. pracował jako katecheta w Czortkowie, a po wybuchu wojny przebywał w Lublinie, Jarosławiu, a wreszcie w Podkamieniu, dokąd udał się 4 listopada 1943 r. Tam właśnie był świadkiem opisywanych przez siebie wydarzeń. Po czasowym usunięciu się do Krzemieńca, gdzie zapadł na tyfus plamisty i ostatecznym wyjeździe do Lwowa, o czym też pisze w swojej relacji, został skierowany do Żółkwi, gdzie był ostatnim przeorem tamtejszego klasztoru, aż do wysiedlenia, które nastąpiło 29 czerwca 1946 r. Opusz-

<sup>4</sup> Były to klasztory we Lwowie, Podkamieniu, Czortkowie, Żółkwi, Tarnopolu i Bohrodzanach.

<sup>5</sup> ADK Kronika OO. Dominikanów w Czortkowie, napisana przez o. Urbana Szeremeta OP. Nie jest ona — pisze sam autor — kroniką w ścisłym tego słowa znaczeniu, przynajmniej co do lat 1941–1945, gdyż pisana w 1945 roku jest raczej wspomnieniem faktów, które się zdarzyły w tym czasie... Por też: Z. M a z u r, *Prawda o zbrodni w Czortkowie*, „W drodze” 11–12: 1989 s. 52–60.

czając wraz z innymi ojcami Żółkiew, zdołał wywieźć nie tylko część wyposażenia klasztoru i kościoła, ale także szczątki pochowanej tam fundatorki Teofili Sobieskiej i jej syna Marka (matki i brata króla Jana III), pochowane później w podziemiach kaplicy M. Bożej Różańcowej przy krakowskim kościele dominikanów<sup>6</sup>. Po przyjeździe do Polski został skierowany do klasztoru w Gdańsku. 26 października 1949 r. został aresztowany z powodu nieprawomyślnej treści kazań misyjnych głoszonych w kościele św. Michała w Warszawie i ponad trzy lata spędził w więzieniu; zwolniony przedterminowo powrócił do Gdańska, a potem był w klasztorach w Poznaniu, Jarosławiu, Borku Starym — jako przełożony, w Gidlach i wreszcie w klasztorze św. Jacka w Warszawie. Tam zmarł 1 listopada 1978 r. Był cenionym misjonarzem i uznanym kaznodzieją. Na kapitule prowincjalnej w 1958 r. przyznano mu nawet ceniony wtedy tytuł kaznodziei generalnego. Ogłosił także kilka artykułów na łamach „Róży Duchownej”<sup>7</sup>.

Tekst wspomnienia ojca Burdy wydajemy na podstawie sporządzonego przez niego maszynopisu, oprawnego w płótno i włączonego do zespołu archiwalnego klasztoru w Podkamieniu sygn. Pk 169 (s. 1–35). Razem oprawiono także krótkie sprawozdanie o. Marka Krasa o ostatnich dniach istnienia i likwidacji klasztoru przez władze sowieckie 9 czerwca 1945 r. (osobna numeracja — s. 1–2), które także drukujemy, oraz sporządzone przez tegoż listy zmordowanych parafian (s. I–XIX). Wprawdzie autor podał datę zakończenia pisania tych wspomnień — 12 grudnia 1944 r., jednak ostateczna wersja została chyba opracowana później. Wkrótce po opuszczeniu więzienia, autor prosił prowincjała, o. Bertranda Czernka<sup>8</sup>, o umożliwienie wyjazdu do Krakowa, gdzie w archiwum znajdują się jego skrypta o Podkamieniu, gdyż chciałby je poprawić, uzupełnić i przepisać na maszynie<sup>9</sup>.

<sup>6</sup> Zob. J. T. Petrus, *Kościoły i klasztory Żółkwi. (Materiały do dziejów sztuki sakralnej na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej)*, red. J. K. Ostrowski, cz. 1, *Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa ruskiego*, Kraków 1994 s. 87–164.

<sup>7</sup> Pomcą w napisaniu tego biogramu był własnoręcznie napisany życiorys i inne materiały z urzędu prowincjalnego w ADK sygn. Pp 613, a także spuścizna o. Burdy tamże, sygn. Ao 610–629.

<sup>8</sup> O. Bertrand Czernek (1899–1977) był prowincjałem polskich dominikanów od 1950–1958 r.

<sup>9</sup> List pisany z Gdańska 14 VIII 1953 r. ADK Pp 613.

Rzeczywiście w spuściźnie autora zachowała się teczka z materiałami dotyczącymi tych wydarzeń. Zawiera ona brulion drukowanych przez nas wspomnień, w postaci liczącego 85 kart zeszytu formatu 21×25,3 pisany atramentem jednostronnie ręką o. Burdy, zatytułowany: *Dzieje klasztoru OO. Dominikanów w Podkamieniu koło Brodów od dnia 5 listopada 1943 r. do dnia 2 sierpnia 1944 roku*. Naniesione są tam liczne poprawki ołówkiem. Nie jest to chyba jednak tekst, który poprawiał o. Burda w 1953 r., lecz raczej jego pierwsza wersja, gdyż nie jest on podpisany i nie zaznaczono w nim daty (12 grudnia 1944) i okoliczności jego napisania, jak to jest w przedstawionej przez nas wersji. Ponadto w teczce tej znalazło się napisane własnoręcznie wspomnienie o. Leona Podgórnego, lista zamordowanych i pisane w latach pięćdziesiątych zeznania kilku świadków wydarzeń.

O. Józef, jak wynika z przedstawionej chronologii jego życia, znalazł się w Podkamieniu w momencie narastającego napięcia między Ukraińcami i Polakami, w obliczu zbliżającego się frontu. Trafiał tam, nieświadom co go czeka, na własną prośbę, gdyż nie chciał podlegać nowemu przełożonemu w miejscu swego dotychczasowego pobytu w Jarosławiu. Ten krótki czas pobytu sprawił, że niezbyt dobrze był rozeznanym w sytuacji politycznej, nie znał bliżej uczestników wydarzeń, o nazwiska niektórych z nich pytał później ojców, którzy byli tam dłużej. Jego wspomnienia są wspomnieniami duszpasterza i niedoszłej ofiary. Używa często określenia bandyci ukraińscy, które dziś wielu razi, lecz w kontekście wspomnień służy ono do odróżnienia sprawców mordów, od ukraińskich mieszkańców Podkamienia i okolic, którzy byli zagubieni wobec panujących nastrojów i wydarzeń, z nimi się nie solidaryzowali, a nawet w wielu wypadkach ratowali Polaków, narażając siebie i swoje rodziny, jak to było i udziałem autora cytowanych przez nas wspomnień.

Sądźmy, wydając te wspomnienia w zasadzie bez komentarza, że są ważnym świadectwem tamtych czasów, ale jednocześnie stanowią cenny materiał dla historyka tamtych czasów<sup>10</sup>, który także w połączeniu z innymi materiałami dotyczącymi Podkamienia, zachowywa-

<sup>10</sup> Zostały ogłoszone drukiem w postaci samodzielnych wydawnictw dwa na poły wspomnieniowe opracowania: Z. Iłowski, S. Iłowski, *Podkamień. Apokaliptyczne wzgórce*, Opole 1993; Cz. A. Świętojański i A. M. Wiśniewski, *Możemy wszystko przebaczyć nie wolno nam niczego zapomnieć. Dzieje Podkamienia i okolic od maja 1943 r. do maja 1944 r.*, Wołów — Jawor 1965–1994.

nymi w dominikańskim archiwum pomoże lepiej zrozumieć skomplikowane stosunki między ludnością polską i ukraińską na tamtych ziemiach. Dotyczy to też czasów narastania konfliktu jeszcze w czasach austriackich.

Jan Andrzej Spież OP

### **1 Klasztor ojców dominikanów w Podkamieniu od dnia 5 listopada 1943 r. do dnia 11 marca 1944 r.**

Do Podkamienia przybyłem dnia 5 listopada 1943 r. na miejsce ojca Rozariana Brunaka<sup>11</sup>, który wyjechał na przełożonego do Bohorodczan<sup>12</sup> — i zostałem zamianowany kooperatorem przy parafii, gdzie proboszczem i zarazem przełożonym konwentu był ojciec Marek Kras<sup>13</sup>. Już w Jarosławiu<sup>14</sup>, skąd wyjechałem, dochodziły mnie niezbyt pocieszające wiadomości o mordowaniu Polaków na terenach Wołynia. Nie obawiałem się tego, tłumacząc sobie, że ludzie więcej mówią, niż jest w rzeczywistości, i pojechałem. W Brodach<sup>15</sup> czekała już na mnie furmanka, na którą szybko załadowałem rzeczy, przy po-

<sup>11</sup> O. Rozarian Brunak urodził się w Kremeńczukach (pow. Zaslów) 30 V 1900 r. Profesję złożył 2 XII 1923, święcenia kapłańskie otrzymał dnia 23 VII 1929 r. Studiował w Lyonie. W Krakowie spełniał obowiązki magistra nowicjuszków. Przebywał ponadto w klasztorach w Jarosławiu, Gidlach, Podkamieniu i Bohorodczanach. W roku 1948 sekularyzował się i pracował jako proboszcz w diecezji częstochowskiej. Później czynił starania o powrót do zakonu, ale tymczasem zmarł w Krakowie dnia 12 IX 1969 r.

<sup>12</sup> Bohorodczany przed wybuchem wojny były miastem powiatowym w woj. stanisławowskim liczącym ok. 2600 mieszkańców. Klasztor dominikanów, który prowadził tam parafię istniał od 1610 r.

<sup>13</sup> O. Marek (Michał) Kras urodził się w miejscowości Bryły pow. Jasło dnia 12 IX 1890 r., profesję złożył 28 VII 1908, a święcenia kapłańskie otrzymał dnia 25 III 1915 r. Był syndykiem Prowincji, przełożonym w Podkamieniu, Żółkwi, Jezupolu, Tarnobrzegu i Jarosławiu. Był wytrawnym kaznodzieją; zawsze pogodny, był powszechnie lubiany. Zmarł w Jarosławiu 22 III 1962 r.

<sup>14</sup> Jarosław, miasto powiatowe w woj. Podkarpackim, gdzie dominikanie mają od roku 1777 klasztor pod wezw. Matki Bożej Bolesnej w dawnym kolegium jezuickim.

<sup>15</sup> Brody — wówczas miasto powiatowe, miało z Podkamienia najbliższe połączenie kolejowe ze Lwowem.

mocy brata Marcina Kapronia<sup>16</sup>, bowiem furman chciał jak najszybciej wyjechać z Brodów, tłumacząc mi, że niebezpiecznie jechać wieczorem, z powodu bandytów.

Z Brodów do Podkamienia jest dwadzieścia trzy kilometry drogi, nieco podobnej do szosy, którą w czas pogodny jako tako przejechać można. W czasie jazdy nawiązałem rozmowę z furmanem. Nazywa się Sobolewski, jest uchodźcą z Poczajowa<sup>17</sup>, mieszka od kilku miesięcy w klasztorze z całą rodziną. Opowiadał mi, w jaki sposób ukraińscy bandyci znęcali się nad polską ludnością na Wołyniu, że dużo ludzi zginęło, a reszta poszła w rozsypkę, że wiele rodzin żyło w lasach, cierpiąc głód i nędzę. Obecnie, na Wołyniu, Polak nie może jawnie się pokazać, gdyż od razu napadną i zabiją go bandyci. Opowiadał dalej o wielkiej nienawiści Ukraińców do Polaków, którzy nie mogą znaleźć dla siebie schronienia wśród ludności ukraińskiej. Słuchając tego opowiadania, jakże smutnego i miejscami mrozącego krew w żyłach, pocieszałem się tą myślą, że przecież Ukraińcy w Podkamieniu nie dopuszczą bandytów do klasztoru, nie będą mieli oni odwagi napadać na niewinnych ludzi w klasztorze, że przeto możemy być spokojni<sup>18</sup>.

Parafia w Podkamieniu liczy kilkanaście wiosek, w których przeważają liczebnie Ukraińcy. Największy procent Polaków był w Podkamieniu, Palikrowach, Pańkowcach i Nakwaszy. W chwili przybycia mego do Podkamienia, w klasztorze przebywali następujący ojcowie: ojciec Marek Kras, przełożony klasztoru i proboszcz parafii, o. Mikołaj Wysocki<sup>19</sup>, o. Leon Podgórn<sup>20</sup>, o. Dominik Bałdyga<sup>21</sup> i piszący

<sup>16</sup> Br. Marcin (Jan) Kaproń urodził się 30 I 1905 r. w Dzwoli koło Janowa Lubelskiego Profesję złożył 7 VI 1930 r. Oprócz Podkamienia przebywał w klasztorach we Lwowie, Borku Starym, Jarosławiu, Poznaniu, św. Józefa w Warszawie, wreszcie w Gidlach, gdzie zmarł 8 VIII 1980 r.

<sup>17</sup> Poczajów to liczące w okresie międzywojennym ok. 2300 mieszkańców miasteczko w powiecie krzemienieckim (22 km na pld zachód od Krzemieńca) w województwie wołyńskim, słyne z istniejącej tam Ławy.

<sup>18</sup> W rękopisie: Pocieszałem się tym, że przecież Ukraińcy wołyńscy są prawosławni, ale nasi jako katolicy, nigdy się na podobne mordy nie odważą, a więc w Podkamieniu możemy być spokojni.

<sup>19</sup> O. Mikołaj (Antoni) Wysocki urodził się 12 XII 1888 r. w Przemyślu. Profesję złożył 5 X 1907, a święcenia kapłańskie otrzymał 10 VIII 1912 r. Był katechetą w Czortkowie, i w innych klasztorach, proboszczem w Podkamieniu, kapelanem woj-

te słowa o. Józef Burda, oraz bracia: br. Kryspin Rogowski<sup>22</sup>, br. Garciasz Jużwa<sup>23</sup>, br. Jan Frączyk<sup>24</sup> i br. Marcin Kaproń.

Oprócz zakonników w klasztorze znalazło pomieszczenie kilkanaście rodzin uchodźców z Wołynia, przeważnie z Poczajowa, Michałówki, Drańczy Polskiej, a nawet z Krzemieńca. Zamieszkał również w klasztorze z ciotką, siostrzeńcem i służącą proboszcz z Poczajowa, ksiądz Stanisław Fijałkowski<sup>25</sup>. Z Podkamienia schronili się do klasztoru: Marian Kwaśnicki, nadleśniczy, zastępca jego Kazimierz Sołtyś, sędzia Fryc, oraz urzędnik Sienkiewicz.

Od listopada do grudnia nie zaszły żadne ważniejsze wypadki w naszym życiu. Dopiero przed Bożym Narodzeniem zaczęła się powiększać liczba mieszkańców klasztoru, ponieważ tu i ówdzie miały miejsce pojedyncze napady i morderstwa. I tak w lasach Pieniackich zginął technik lasowy, nazwiskiem Żelazny, którego po tygodniu znaleziono z szat obnażonego, zasypanego śniegiem. Ciało zamordowanego przywieziono do Podkamienia i pochowano na cmentarzu.

skowym podczas I wojny światowej. W okresie powojennym przebywał w Gidlach i w Borku Starym gdzie zmarł dnia 14 V 1978 r.

<sup>20</sup> O. Leon (Andrzej) Podgórnii urodził się w Jurkowie (pow. Limanowa) 19 XII 1892 r. Profesję złożył 11 XI 1920, święcenia kapłańskie otrzymał 2 VIII 1925 r. Oprócz Podkamienia przebywał w Bohorodczanach, Czortkowie, Jezupolu, Lublinie, Krakowie i w Gidlach gdzie zmarł 2 VII 1953 r.

<sup>21</sup> O. Dominik Bałdyga urodził się 18 III 1907 r. w Nowosiedlinach koło Makowa Mazowieckiego. Profesję złożył 21 II 1926, święcenia kapłańskie otrzymał 21 VI 1231 r. Przebywał oprócz Podkamienia w klasztorach we Lwowie, Krakowie, Warszawie, Wrocławiu, Borku Staym, Lublinie i Gidlach, gdzie zmarł 17 X 1969 r.

<sup>22</sup> Br. Kryspin (Karol) Rogowski urodził się 29 stycznia 1867 r. w Białym Kamieniu pow. Złoczów. Profesję zakonną złożył 6 stycznia 1897 r., Przebywał w klasztorach we Lwowie, Tarnopolu i Żółkwi i w Podkamieniu gdzie zginął 12 III 1944.

<sup>23</sup> Br. Garciasz (Dominik) Jużwa urodził się w Powpocach pow. Brody 12 X 1869 r. Profesję złożył 10 X 1899 r. Przebywał w Czortkowie i przez długie lata w Podkamieniu gdzie zginął 12 III 1944 r.

<sup>24</sup> Br. Jan (Fanciszek) Frączyk urodził się w miejscowości Boże Duże (pow. Kozienice) 8 listopada 1888 r. Profesję złożył 22 I 1916 r. Był z zawodu krawcem; przebywał w lasztorach w Krakowie, we Lwowie i w Podkamieniu gdzie zginął 12 III 1944.

<sup>25</sup> Ks. Stanisław Fijałkowski kapłan diecezji Łuckiej, ur. w 1893 r., święcenia kapłańskie otrzymał w 1916 r. Zob.: W. J a c e w i c z, J. W o ś, *Maryrologium polskiego duchowieństwa rzymskokatolickiego pod okupacją hitlerowską w latach 1939–1945*, z. IV, Warszawa 1978 s. 255.

Ponieważ wypadki morderstw były coraz częstsze, nadleśnictwo przeniosło swoje urzędy do klasztoru, zajmując puste do tego czasu sale na piętrze. Wraz z Nadleśnictwem zamieszkała straż leśna, składająca się z osiemnastu młodych mężczyzn, którzy mieli pozwolenie od władz niemieckich na noszenie broni, a do obrony otrzymali ręczne karabiny starej daty. Do grona tej straży leśnej weszli młodzieńcy z Podkamienia i z Palikrów, przeważnie synowie lub krewni leśniczych.

Od chwili przybycia Nadleśnictwa klasztor był pilnowany przez owych młodzieńców dniem i nocą. Jak później się okazało, nie omieszkali skorzystać z tego Ukraińcy, rozsiewając pogłoski, że w klasztorze znajduje się polska partyzantka, z czego klasztor miał wiele nieprzyjemności, jak później to zobaczymy. Niezatarte wrażenie zostawiły mi te noce, w których wartownicy miarowym krokiem chodzili po korytarzach klasztornych, w drewniakach i z bronią na ramieniu.

Tymczasem napady bandytów ukraińskich na polską ludność zaczęły nabierać coraz szerszych rozmiarów. Słyszając o morderstwach w Suchowoli, Pańkowcach, Pieniakach i Hucie Pieniackiej, ludność polska zaczęła masowo chronić siebie i swoje mienie w klasztorze podkamienieckim. A kiedy również i w samym Podkamieniu zaczęły się napady i rabunki, cała ludność miasteczka, wszyscy Polacy zbiegli za mury klasztorne, tak że klasztor w tym czasie liczył około dwóch tysięcy mieszkańców. O. Marek Kras, przełożony klasztoru, przyjmował wszystkich otwartym sercem, umieszczając przybyłych gdzie się dało, nawet w refektarzu i na korytarzach, gdyż sal zabrakło.

Przychodziły naprawdę niepokojące czasy. Z dala od większych miast, bez ochrony wojska, mając do obrony tylko kilku ukraińskich policjantów, o których mówiono, że są w porozumieniu z bandytami, zostaliśmy wprost bez żadnej ludzkiej pomocy.

W klasztorze, wobec takiego nawału ludności, zajęte były wszystkie możliwe do zamieszkania miejsca. W jednej sali mieściło się nieraz kilka a nawet kilkanaście rodzin, tak że trzeba było pilnować pewnego ładu i porządku w tym zbiorowisku, aby uniknąć jakiejś epidemii. O. Marek Kras, codziennie wieczorem, po nabożeństwie różańcowym, wydawał w kościele zarządzenia i nawoływał do utrzymania porządku w klasztorze.

Codziennie odmawialiśmy różaniec w kościele, przed odsłoniętym Cudownym Obrazem Matki Boskiej Różańcowej. Lud pobożnie wzywał jej opieki, śpiewając pieśń, która stała się jakby hymnem niesz-

częśliwych i uciśnionych: *Matko Najświętsza, da Serca Twego mieczem boleści wskroś przeszycgo — wołamy wszyscy z jękiem, ze łzami: — Ucieczko grzesznych, módl się za nami! Gdzież my, o Matko, ach gdzież pójdziemy — I gdzie ratunku szukać będziemy Swojego ludu nie gardź prośbami: — Ucieczko grzesznych, módl się za nami.*

Śpiewali księża, starcy, młodzież, kobiety i dzieci, śpiewali wszyscy, a pieśń ta i wiara w opiekę Matki Najświętszej przynosiła wszystkim ukojenie. Ratunku szukał prześladowany naród u stóp ołtarza Cudownej Matki Bożej w Podkamieniu i czekał cierpliwie, znosząc bohatercko wyzywającą postawę Ukraińców, wysyłających przy każdej sposobności Polaków za San, — znosił cierpliwie lekceważenie na każdym kroku, ze swą zamkniętą chłopską naturą i zimną krwią.

Wielkie poruszenie wśród ludności polskiej wywołało zniknięcie trzech obywateli podkamienieckich. Zniknęli bez wieści: Franciszek Pittner i Władysław Schnitzer wraz z furmanem. Wypadek ten miał miejsce ostatniego grudnia 1943 r. w Nakwaszy, gdzie wyżej wymienieni, jadąc z Brodów, zatrzymali się, i stąd zostali przez bandytów uprowadzeni, tak że słuch o nich zupełnie zaginął.

Wielkie oburzenie i poruszenie w narodzie nastąpiło po uwięzieniu i zamordowaniu, jak opowiadają, w lesie, księdza proboszcza z Pieniak<sup>26</sup>. Ukrywał się on przez dłuższy czas, nie śpiąc u siebie w domu, tylko w kościele lub na obcych strychach, aż oto w niedzielę, właśnie gdy skończył odprawiać nieszpory i szedł na plebanie, napadli nań ukraińscy bandyci, związali mu ręce, zaprowadzili do sań i uwięzili w niewiadomym kierunku, w lasy.

Zaczęły się pojawiać coraz częstsze morderstwa. W biały dzień wystrzelano rodzinę polską we wsi Popowce. Coraz częstsze łuny pożarów oświecały dookoła horyzont, paliły się polskie zabudowania a lud nie przestawał szturmować do furty klasztornej w Podkamieniu, wystraszone tym, co się działo na świecie.

Ukraińcy zaczęli głosić prorocтва zaczerpnięte rzekomo z Pisma Świętego, że oto przychodzi czas całkowitej zagłady dla Polaków. Coraz szerszym kręgiem roztaczał się pomruk: Śmierć Lachom, zwłaszcza gdy bandyci przeszli z terenów oczyszczonych na Wołyniu na

<sup>26</sup> Ks. Józef Wiczorek, kapłan Archidiecezji Lwowskiej urodzony w 1899 r., święcony w 1923, został administratorem parafii w Pieniakach po śmierci proboszcza ks. Franciszka Wojtusia w 1942 r. Zginął 26 VI 1942. Zob. jak wyżej, z. III, s. 142.

naszą stronę i zatrzymali się w Czernicy. Nasi chłopcy — wyrażali się o nich Ukraińcy.

W lutym 1944 r. klasztor w Podkamieniu przyjął w gościnę oficerów i żołnierzy węgierskich, którzy wycofywali się z frontu. Zostawili oni kilka karabinów i granatów ręcznych na wypadek konieczności obrony klasztoru. Chociaż uczyniono to w wielkiej tajemnicy, jednak klasztor musiał mieć w swoim gronie szpiegów, którzy donieśli o tym dowódcy ukraińskiego SS, kapitanowi niemieckiemu, który ze swoim oddziałem zjawił się w Podkamieniu w pierwszych dniach marca.

W krótkim czasie po jego przybyciu zauważyliśmy w rannych godzinach, że oddział ukraińskiego SS otacza klasztor. Nie wiedzieliśmy co to ma znaczyć, ale wkrótce oznajmiono nam cel tej operacji. Przed południem przyszedł do klasztoru w towarzystwie żołnierzy ukraińskich kapitan niemiecki z drugim oficerem, aby nam przedstawić, że doszły do władz niemieckich wojskowych wiadomości, jakoby w klasztorze znajdowały się składy amunicji, oraz miała swoją siedzibę polska partyzantka. Wobec takiego stanu rzeczy otrzymaliśmy polecenie, aby wydać broń i wydać ludzi z obiektu klasztornego. Jeżeli tego nie uczynimy, oni sami zrobią rewizję i jeżeli znajdą broń, wszystkich nas rozstrzelają.

Nie pomogły nasze tłumaczenia, że w klasztorze nie ma partyzantów tylko rodziny, które się tutaj schroniły przed napadami, że mieści się tu nadleśnictwo, które ma swoją straż do pilnowania lasów, że owszem, straż ma karabiny, ale za pozwoleniem władz niemieckich, zresztą, że karabiny nie są do użytku. Ponieważ kapitan zażądał, by broń odniesiono na komendę, uczyniono to, aby uniknąć rewizji.

Na drugi dzień o. Marek Kras otrzymał wezwanie stawienia się osobiście w komendzie. Wziął mnie ze sobą. Towarzyszyli nam: Niewiadomski z Podkamienia i Sobolewski z Poczajowa. Różne mieliśmy przypuszczenia, czego mogą od nas żądać. Nie wiedziałem tylko, czy wrócimy do klasztoru i co się z nami stanie, chociaż byłem zupełnie spokojny.

Przyjęto nas bardzo grzecznie. W kącie kancelarii stały dwa karabiny z kolbami ręcznej roboty, te które poprzedniego dnia wydano władzy wojskowej. Ponieważ wszystko było w rażącej sprzeczności z tym, co nam zarzucali Ukraińcy, o składach broni i amunicji w klasztorze, musieliśmy wysłuchać niemało gorzkich słów od kapitana, któ-

ry nie spodziewał się, aby klasztor mógł przyjąć poza swoje mury i przechowywać bandytów. Dał nam pouczenie, że w klasztorze mogą się znajdować tylko starcy i dzieci sieroty, nie zaś młodzi ludzie, którzy powinni pójść do pracy. Przytoczył nam pan kapitan nawet słowa Pisma Świętego: *Kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam. Rozkazał odesłać wszystkich ludzi do domów mówiąc, że nie może grozić im żadne niebezpieczeństwo, jak długo wojsko znajduje się w miasteczku. Widocznie już wtedy działano według powziętego planu: rozpuścić ludzi do domów, opróżnić klasztor, aby w niedługim czasie ukraińscy bandyci, po odejściu wojska z Podkamienia, mieli ułatwioną pracę w opanowaniu klasztoru, do czego zmiierzali w porozumieniu z władzami niemieckimi.*

Wyszedłem z kancelarii bardzo przygnębiony na duchu. Było dla mnie widocznym, że we wszystkim powierzono Ukraińcom, a nam w niczym. Nie chciano wierzyć, że ludność polska chowała się przed bandytami, tylko domyślano się istnienia w klasztorze partyzantki.

Na skutek rozporządzenia władz niemieckich, ludzie z Podkamienia i z Palenisk opuścili klasztor. Tylko na noc wielu wracało za mury klasztorne, zwłaszcza ci, którzy mieszkali na krańcach miasteczka, lub w pobliżu lasu. Tymczasem akcja tępienia Polaków przybierała coraz groźniejsze rozmiary. W pierwszych dniach marca bandyci ukraińscy napadli na Hutę Pieniacką i wymordowali w nielitościwy sposób jej mieszkańców.

Widząc na co się zanosi, a mianowicie, że Podkamień, a zwłaszcza klasztor nie uniknie napadu bandytów, wystąpiłem wobec całego konwentu z wnioskiem, by radzić nad ochroną naszego życia. Należało ratować kapłanów i zakonników i nie narażać się na to, by nas wszystkich wymordowano. Dnia trzeciego marca zebraliśmy się na naradę: o. Marek Kras, przełożony klasztoru, o. Mikołaj Wysocki, o. Leon Podgórn, o. Dominik Bałdyga i o. Józef Burda. Narada trwała krótko, wszyscy rozumieli groźbę położenia. Ojcowie i bracia mieli wskazane miejsce do wyjazdu. W klasztorze, na własną prośbę, pozostanie tylko o. Józef Burda i będzie pełnił obowiązki duszpasterskie w parafii.

W niedzielę, dnia piątego marca, o. Marek Kras złożył władzę nad klaszturem w moje ręce i udał się do Brodów. Opowiadał później, że tylko dzięki opiece Matki Boskiej ocalał, albowiem ujechawszy kilka kilometrów, w lesie przed Nakwaszą zobaczył zbliżającego się ban-

dytę z bronią w rękę i krzyczącego: Stój! Na szczęście pojawiła się na wzgórku fura z niemieckim oficerem i bandyta zmuszony był do ucieczki.

O. Marek Kras zamierzał pozostać w Brodach tak długo, aż będzie można powrócić do Podkamienia; niestety, wypadki które potem nastąpiły zmusiły go do porzucenia tej myśli. W piątek, dnia dziesiątego marca, doszła do nas wiadomość, że oddział ukraiński SS pod dowództwem niemieckim opuści Podkamień nazajutrz, w sobotę rano. Dowiedzieliśmy się również, że odbyła się narada, w której brali udział czołowi przywódcy ukraińscy z Podkamienia i bandyci ukraińscy z Czernicy. O jakich sprawach radzono łatwo było nam się domyśleć. Od soboty jedenastego marca władza nad Podkamieniem miała przejść w ręce banderowców.

Zbliżyła się chwila ostatecznej rozprawy z klaszturem oraz polską ludnością w Podkamieniu i Palikrowach. W klasztorze było wtedy około trzystu ludzi.

## **2 Klasztor ojców dominikanów w Podkamieniu w czasie napadu bandytów ukraińskich, od dnia 11 marca 1944 r. do dnia 20 marca 1944 r.**

Przewidywania nasze co do napadu na klasztor w Podkamieniu sprawdziły się. Wedle pogłoski piątkowej, Niemcy i ukraiński oddział SS opuścili Podkamień w sobotę jedenastego marca rano, kierując się w stronę Brodów. Obserwowałem z okna swej celi, jak ostatni oddział odmaszerował. Przewidywałem, że właśnie teraz przychodzi czas ostatecznej rozprawy band ukraińskich z klaszturem, ale nie zdawałem sobie sprawy, żeby to już nastąpić mogło.

W klasztorze było w tym czasie trzech ojców: o. Mikołaj Wysocki, o. Leon Podgórn i o. Józef Burda, oraz czterech braci: br. Kryspin Rogowski, br. Garciasz Juźwa, br. Jan Frączyk i br. Marcin Kaproń. O. Mikołaj Wysocki i Leon Podgórn, nie mogli wcześniej wyjechać, ponieważ trudno im było zdobyć potrzebne ku temu dokumenty. Ukraińscy urzędnicy i pod tym względem utrudniali wyjazd Polakom, a podobno sami zaopatrywali się w polskie dokumenty, aby jako Polacy łatwiej mogli wyjechać i ukrywać się w razie potrzeby.

Bracia również nie śpieszyli się z wyjazdem. Br. Kryspin Rogowski przygotowywał się na śmierć z powodu podeszłego wieku i choroby, br. Garciasz Juźwa był chorym, nie mógł chodzić, br. Jan Frączyk nie obawiał się śmierci, zdał się na wolę Bożą, br. Marcin Kaproń nie mógł prędzej wyjechać, gdyż miał wiele zajęć i całe gospodarstwo było na jego głowie. I tak pozostali wszyscy w klasztorze.

Ks. Stanisław Fijałkowski, proboszcz z Poczajowa, pomimo moich próśb, by wyjechał z ojcami, pozostał, tłumacząc się tym, że ma chorą ciotkę, z którą podróż w tak ciężkich warunkach byłaby niemożliwa. Zostawić zaś jej nie może z pietyzmu, jaki żywił dla tej kobiety, która zastępowała mu matkę i ponosiła wiele trudów w czasie jego nauki. Nie chciał również opuszczać swoich parafian, których miał zgromadzonych w klasztorze, a za których widocznie chciał swoje życie poświęcić.

Oprócz większości kobiet i dzieci, w klasztorze w tym czasie znajdowało się kilkunastu młodzieńców, którzy stanowili załogę, oraz tyluż starszych mężczyzn, zwłaszcza Wołyniaków. Tych, którzy umieli obchodzić się z bronią było zaledwie kilku: Stanisław Olszański, Antoni Hłowski, Andrzej Półtorak, Mieczysław Półtorak, Czesław Świętojański, Józef Świętojański, Tadeusz Barecki, Julian Bajewicz, zamordowany w piwnicy organisty i Huckman Alfred, który został zabity w klasztorze, jako pierwsza ofiara napadu. Nad tą załogą objął dowództwo w czasie napadu Kazimierz Sołtysik, inżynier, który w tym czasie miał powierzone sobie nadleśnictwo, znajdujące się w klasztorze.

Przyszła sobota, dzień jedenasty marca. W rannych godzinach tego dnia do br. Marcina Kapronia przyszła urzędniczka z Podkamienia, pracująca w Brodach, z wiadomością od o. Marka Krasa. Prosił brata, aby udał się do gminy w Podkamieniu i wydobył jego dowód osobisty, który następnie wyżej wspomniana urzędniczka miała doręczyć.

*Udałem się do gminy zaraz po południu* — opowiada br. Marcin Kaproń — *powiedziano mi, że dowodu nie będzie, gdyż sekretarz wyjechał do Złoczowa. Kiedy mam przyjść — zapytałem — w poniedziałek, czy we wtorek? Na to jeden z urzędników, ukrainiec, odpowiedział: Kto wie, co dziś będzie do wieczora! Woźny gminy skinął głową na mnie, abym wyszedł. Gdyśmy byli na osobności, woźny powiedział mi, aby bramy pozamykać, gdyż szykuje się napad na klasztor, aby wymordować jego mieszkańców. Gdy przyszedłem do klasztoru od ra-*

*zu pozamykałem wszystkie bramy.* Takie oto wiadomości przyniósł br. Marcin Kaproń z gminy w Podkamieniu.

Przez cały czas, w sobotę, odczuwałem dziwny niepokój. Wiedziałem, że coś się stanie. I oto o godzinie trzeciej po południu doniesiono mi, że bandyci posuwają się grupami od strony Czernicy. Już są w Podkamieniu. Podeszedłem do okna i przez lornetkę widziałem doskonale pieszych i konnych bandytów, szybko posuwających się ku miasteczku. Cała droga od Pańkowiec do Podkamienia była nimi wypełniona.

Żadnych rozporządzeń w klasztorze nie dawałem, tylko gdy otrzymałem wiadomość, że bandyci już idą w stronę klasztoru, wyszedłem naprzeciw. Inżynier Kazimierz Sołtysik przyłączył się do mnie, chcieliśmy się przekonać naocznie, jacy to ludzie i po co przychodzą?

Spotkanie nasze nastąpiło przed godziną czwartą po południu, przy końcu muru klasztornego, koło domostwa Chudzika, na drodze wiodącej na gościniec. Przywitano nas rosyjskim pozdrowieniem i podaniem ręki. Było ich dwóch, trzeci, komendant widocznie, jechał na koniu jakieś piętnaście kroków za nimi. Widząc nas rozmawiających na drodze, zatrzymał się. Początkowo nic nie mówił, tylko od jego podwładnych dowiedziałem się, że jest to regularne wojsko SS, pod dowództwem kapitana niemieckiego. W klasztorze chcą mieć kwaterę, a na wieży kościelnej mają założyć punkt obserwacyjny, ponieważ zamierzają stoczyć walkę ze zbliżającymi się wojskami bolszewickimi.

Kazimierz Sołtysik częstował ich papierosami i w międzyczasie, w drodze do bramy klasztornej, toczyła się rozmowa w języku rosyjskim, ponieważ po ukraińsku rozmawiać nie umiałem. Oznajmili nam wyraźnie, że są prawdziwym wojskiem, a nie banderowcami, jakby ktoś przez pomyłkę mógł o nich tak sądzić, owszem, oni walczą przeciwko bolszewikom i banderowcom. Mocno to było podkreślone, aby nas ostatecznie przekonać o prawdzie ich słów. Pragną odpocząć w klasztorze, gdyż po długim marszu są znużeni i głodni.

Widziałem ten marsz stojąc w oknie swej celi. Były to raczej wyścięgi, kto pierwszy dobiegnie do mety, aby sobie pohulać z bezbronną ludnością, tak bardzo śpieszyli się mordować Polaków. Nie było na nich widać żadnego przemęczenia, przeciwnie, chłopcy zdrowe i wypoczęte, żadnych śladów wojennych trudów nie można się było dopatrzeć. Gdy zwróciłem uwagę, czemu nie są umundurowani, tylko noszą cywilne ubrania i czapki, odpowiedziano mi, że to wszystko celem zamaskowania się przed bolszewikami.



Tak rozmawiając doszliśmy do bramy klasztornej od strony podwórza. Tu zatrzymaliśmy się, ponieważ brama była zamknięta i dopiero na moje wołanie otworzono nam. Nadjechał komendant banderowców, wciąż milczący, nie patrzył na nas. W końcu raczył przemówić, że weźmie kwatery w klasztorze. Odpowiedziałem, że chętnie udzielimy kwatery, ale niech pierwszej zatrzyma się przy bramie, a ze mną niech pójdzie dwóch ludzi, aby obejrzeć dogodne miejsce na kwatery. Dałem przez to do zrozumienia, że nie jesteśmy przygotowani na przyjęcie takich gości. Było ich w tym czasie na podwórzu klasztornym około trzydziestu, a nowi wciąż napływali. Trzeba również uspokoić ludzi w klasztorze, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa ze strony przybyszów.

Komendant banderowców zgodził się na to milcząco, ale nie dał wyraźnego rozkazu, kto miał iść ze mną; poczęli się sami bandyci targować między sobą, kto będzie mi towarzyszył w czasie otwarcia furty, gdyż wielu ich iść chciało. W końcu dano pierwszeństwo tym, których najpierw poznałem.

Gdy szedłem do furty klasztornej, poczęli grupami powoli posuwać się za mną. Furtę klasztorną zastaliśmy zamkniętą. Przez dłuższy czas nie odpowiadano na dzwonek i moje wołanie. W klasztorze cisza, jakby wszyscy wymarli. Dopiero po upływie dłuższego czasu odezwał się ktoś z piętra, że klasztoru nie otworzą. My się was boimy — wołano — my nie wiemy, kto wy jesteście. Ludzie są przestraszeni, dokoła były morderstwa Polaków, my was do klasztoru nie wpuszczymy. Idźcie do miasta, tam macie dużo pustych domów na kwatery — odzywały się coraz śmielsze głosy. A kiedy prosiłem, by otwarto furtę, gdyż przyszło wojsko, odpowiedziano mi, że kluczy nie ma, że szukają, wiedziałem, że tak szukają, aby zyskać na czasie i furty nie otworzyć.

Ze strony bandytów były też nawoływania i prośby, by otworzono klasztor: Ludzie — wołano — czego się boicie, myśmy nie przyszli was zabijać!... Czto za głupości!... Jednak w klasztorze nie słuchano tych wezwań i próśb. Dość było spojrzeć na owych młodych ludzi, uzbrojonych w ręczne karabiny maszynowe, pistolety i granaty, założone za pas i za cholewy, aby się przekonać, kto oni są i z czym przychodzą.

Nie wiedziałem jak się to wszystko zakończy, a ponieważ żadne nawoływania nie pomogły i furty nie otworzono, poszedłem do ko-

mendanta bandytów, aby mu to oznajmić. Siedział na koniu milczący i zamyślony. Odezwał się w końcu, że klasztor musi być otwarty, w przeciwnym razie da znać dowódcy niemieckiemu, aby ten wydał rozkaz utorowania sobie siłą wejścia do klasztoru.

Poszedłem znowu w otoczeniu bandytów do furty, ale i tym razem żadne nawoływania nie pomogły, furta była wciąż zamknięta, z czego oczywiście cieszyłem się w duchu, jeżeli mogłem się cieszyć będąc w takim położeniu. Nareszcie ktoś odezwał się z piętra, aby przybysze zajęli sobie na kwatery organistówkę.

Propozycję tę, rad nie rad, musiał przyjąć dowódca bandy, ponieważ wieczór już zapadł i trudno było dłużej stać na zimnie. Bandyci poczęli pomiędzy sobą szemrać z niezadowolenia, że są zmarznięci i głodni, że pierwszy raz ich coś podobnego spotkało, aby Polacy żołnierzom odmówili kwatery. Spuszczono klucz od mieszkania organisty, poszedłem więc z całą bandą otwierać drzwi. Gdy wyszedłem za bramę, zauważyłem, że już ściemniało na dworze i po raz pierwszy uczułem strach. Zdawało mi się, że przychodzi ostatnia godzina mego życia. Bałem się, by który z nienacka nie strzelił do mnie, kryłem się więc pomiędzy bandytów. Po raz pierwszy od chwili spotkania, uczułem całą trwogę swego położenia. Byłem w ich rękach, sam jeden wśród bandytów, złych z powodu nieudanego zamachu na klasztor, czułem się bardzo nieswojo, źle.

Gdy doszedłem do drzwi organistówki od podwórza, były one już na wpół wybite, ale klucz do tych drzwi się nie nadawał, musiałem iść do drzwi frontowych, otworzyłem je i wszedłem do mieszkania. Zaczęto wołać o światło, powiedziałem, że idę postarać się o nie. Wszedłem na ganek i zobaczyłem Kazimierza Sołtysika, jak śpiesznym krokiem zaczął się oddalać drogą na gościniec.

Było mi tak obco i źle zostać samemu w gronie bandytów, że owdąnął mnie lęk, chciałem koniecznie mieć kogoś znajomego przy sobie, zacząłem przeto wołać pana Sołtysika. Znajdowałem się na drodze, gdzie stało kilku bandytów trzymających broń w pogotowiu. Po chwili przyszedł pan Sołtysik, mówiąc, że szedł szukać lampy. Gdyśmy obaj uszli kilkanaście kroków w stronę bramy klasztornej, usłyszałem szcęk broni, obejrzałem się natychmiast, myśląc, że to już koniec mego życia się zbliżył. Co krok oglądając się za siebie doszliśmy nareszcie do bramy, gdzie stało już na warcie dwóch bandytów z bronią w pogotowiu. Puścili nas za bramę, nie mówiąc. W połowie drogi do

furty klasztornej, widząc, że jesteśmy sami, zamieniliśmy kilka słów o swoich spostrzeżeniach. Pan Sołtysik był tego samego zdania co i ja, jesteśmy w rękach ukraińskich bandytów.

Długo jeszcze stałem przy furcie, prosząc, aby mnie wpuszczono do klasztoru; nie otwierano jednak, bojąc się zasadzki. Dopiero gdy inżynier Sołtysik potwierdził, porozumiewając się ze swoimi w klasztorze, że koło mnie nie ma nikogo, otwarto furkę. W przedsiönku ujrzałem młodzież naszą z karabinami wymierzonymi w stronę drzwi. Szybko przeszedłem między lufami karabinów i znalazłem się wśród swoich w klasztorze.

Nie trudno sobie wyobrazić, co się działo w klasztorze po moim wyjściu na spotkanie banderowców. Jak wspominałem, nie wydawałem wtedy żadnych poleceń, co trzeba robić. Pomyślano o tym beze mnie. Kiedy wieść o zbliżających się bandytach obiegła wszystkich mieszkańców klasztoru, Bajewicz zarządził, aby pozamykano drzwi prowadzące do wnętrza. Stał się wielki ruch w klasztorze. Okna zaryglowano, drzwi i furkę podparto drągami, przynoszono beczki z kapustą do przedsiönka, worki napełnione zbożem, celem umocnienia głównego wejścia. To samo czyniono przy wszystkich wejściach bocznych. Br. Marcin Kaproń chował niektóre rzeczy klasztorne.

W tym czasie, kiedy stałem z banderowcami przed furką, po drugiej stronie, wewnątrz byli tacy, którzy chcieli otworzyć furkę i wpuścić bandytów do klasztoru. Półtorak Józef i Półtorak Andrzej byli wtedy przy furcie. Widocznie poczęto coś działać koło furty, gdy Bajewicz wysoki przemówił silnym głosem: Odstąp od drzwi, bo cię zabiję! — wtedy od furty odstąpiono i poczęto w dalszym ciągu pracować nad wznoszeniem barykady.

Alfons Ochyra stał przy oknie i patrzył. Był przy nim niejaki Julek z Pańkowiec. Kiedy zauważyli go banderowcy, stojący na podwórzu, mówili do niego: Julek, i ty tutaj?

Br. Marcin Kaproń spotkał Wróblewskiego na korytarzu, z karabinem w rękę. Powiedział wówczas młody mężczyzna: mam czterdzieści cztery naboi, czterdzieści trzy użyję, a ostatnim sam sobie wypalę, bo nie chcę być zabitym od Hajdamaków!

Opowiadał br. Marcin Kaproń, że był na wieży kościoła i stamtąd widział, że klasztor był otoczony banderowcami, którzy stali w niewielkich grupach, najwyżej po pięciu dookoła klasztoru. Na wieży było ich pięciu, siedzieli godzinę, zmarzli i zeszli na dół.

Kiedy znalazłem się znowu w klasztorze, doznałem dziwnego uczucia, jakbym wracał z drugiego świata. Nie poznałem klasztoru, tyle tu było ciszy, skupienia i powagi. Ludzie witali mnie tym serdeczniej, że mieli mnie za straconego, zamordowanego przez bandytów.

Ledwie zdołałem spocząć chwilę i przyjąć posiłek, dano mi znać, że bandyci są przy oknie. Proszą bym zeszedł do nich z inżynierem Sołtysikiem, albowiem nie są pewni, czy pokarmy, które na sznurze spuszczone im z klasztoru nie są zatrute. Chcą, abyśmy z nimi spożyli wieczerzę. Nie miałem już sił ku temu, ani chęci, by na linie zjechać na dół przez okno, obawiałem się podstępu ze strony banderowców; przecież dopiero co z ich rąk się wydostałem. Kazimierz Sołtysik również nie okazywał zapалу do zobaczenia się z nimi. Znalazło się dwóch odważnych: Emil Ziemiak, obywatel Podkamienia i Roman Pilc, siostrzeniec księdza Fijałkowskiego z Poczajowa; okazali chęci udania się do bandytów na organistówkę, jako delegacja z klasztoru na rozmowy. Spuszczono ich na linie z okna na korytarzu, aby furty nie otwierać. Przyłączył się do nich Kucharzewicz z Poczajowa, który w tym czasie znajdował się poza klasztorem, i tak we trójkę udali się na organistówkę, gdzie urzędowali banderowcy.

Tymczasem, aby uspokoić ludzi i siebie, szukano bowiem po całym klasztorze i piwnicach kryjówek, zarządziłem wspólne odmówienie cząstki Różańca świętego w kościele. Odsloniliśmy Cudowny Obraz Matki Boskiej, otworzyłem tabernakulum, rozpoczęliśmy gorące i rzewne modły, tak jak można modlić się tylko w obliczu śmierci, albo grożącego wielkiego niebezpieczeństwa śmierci, jakie nam grozi obecnie, prosząc Matkę Najświętszą o pomoc w tej najtrudniejszej chwili naszego życia. Nie jestem zdolny opisać tego nastroju, jaki zapanał w tej chwili, i nikt go zrozumieć i odczuć nie jest w stanie, chyba ten, kto sam przeżywał.

Po odmówieniu Różańca zwróciłem się do obecnych tymi słowami: Stoimy wobec największej chwili naszego życia. Oto teraz ważą się losy nasze i całego klasztoru. Nie wiemy, co nam ta noc, co dzień jutrzejszy przyniesie, śmierć czy życie, czy gorsze jeszcze znęcanie się nad nami okrutnych zbrodniarzy. Przyszła chwila, w której tylko wielka ufność w opiekę Bożej Matki przynieść nam może ocalenie. O Matko Najświętsza! Błagaliśmy Ciebie przez tak długi czas w tej świątyni, okaż nam się Matką, bo znikąd ratunku nie mamy! Tyś jest Królową i Panią tego ludu, który z jękiem i płaczem wielkim, Twojej,

o Matko, opieki dzisiaj błaga! Niech wiara nasza w przedziwną dobroć Twoją i miłosierdzie, zawiedziona nie będzie!

Udzieliłem błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem i odmówiłem modlitwy. Ludzie zanosili się od płaczu, a szept gorących modłów odbijał się echem o sklepienia świątyni i płynął do świętych ołtarzy. Pieśnią *Kto się w opiekę odda Panu swemu* zakończyliśmy nabożeństwo.

Przed godziną dziesiątą wieczorem wróciła delegacja. Krótkie sprawozdanie z rozmowy z bandytami złożył Pilc Roman. Potwierdził dotychczasowe nasze przypuszczenia. Byli to banderowcy z Wołynia. Pytali się, ilu ludzi jest w klasztorze, kto jest dowódcą, ilu księży, jakie zapasy broni. Żądali, aby przynajmniej jednego z nich wpuścić do klasztoru, oczywiście wejdzie bez broni. O kandydacie owym na posła do klasztoru opowiadał pan Emil Zimniak, że miał on kieszenie wyładowane granatami, a prawą rękę zajętą, gdyż przy pożegnaniu podał lewą. Do klasztoru jednak go nie wpuszczono.

W imieniu całej delegacji zabierał głos tylko Roman Pilc. Oczywiście dawał takie odpowiedzi, aby w niczym nie informować bandytów, co się dzieje w klasztorze. Przyniesiono ich ostatnie słowo, aby do godziny piątej rano furta klasztorna była otwarta, w przeciwnym razie użyją siły. Postanowiliśmy bronić się do ostatka w razie napadu i nie dać się podejść podstępem. Już sam fakt, że delegacja wróciła w całości, poprawił samopoczucie wielu.

Wśród naszych ludzi różne były opinie: jedni mówili, że bandyci siłą nie będą zdobywać klasztoru, do którego podstępem wejść się im nie udało; inni wyrażali się, że wycofają się spod murów klasztornych, że oni idą tylko tam, gdzie łatwa zdobycz, tutaj zaś bez ofiar z ich strony obejść się nie może, że bandyci są tchórze, że pierwszy lepszy oddział niemiecki ich wypłoszy. Oczywiście, każdy jak potrafił tak się pocieszał, ale co innego myślał. A wielu myślało o tym, aby klasztor opuścić.

I tak się też działo. Pod osłoną nocy wyszło wielu ludzi z klasztoru, oknem z piwnicy pod tą częścią gmachu, gdzie w dawnych czasach mieściła się apteka. Wychodziły kobiety, dziewczęta, dzieci i znikaly w ciemnościach nocy. Przykry to był widok dla mnie, bo zdawało mi się, że w ciągu nocy wszyscy w ten sposób opuszczają klasztor i przyczynią się do jego zagłady. Ale znowu pocieszałem się tą myślą, że łatwiej im będzie ocalić życie swoje poza klaszturem.

Obowiązkiem naszym było dać znać do wsi Palikrowy, że klasztor został oblężony przez banderowców, aby ludność wioski miała się na baczności, a w razie potrzeby, aby nam przyszła z pomocą. Umówione były w tym celu znaki porozumiewawcze z klaszturem, a mianowicie płonąca na wieży kościoła wiązka paków oblatanych naftą. Skoro Palikrowy zobaczą taki znak, mają natychmiast spieszyć na pomoc klasztorowi.

Roman Pilc, który niedawno wrócił z organistówki jako delegat i dwóch ludzi z Wołynia udali się pod osłoną nocy do Palikrów. Jako znak, że doszli szczęśliwie, wystrzelili trzy białe rakiety, które widziało z wieży kościoła. Jaką rolę odegrali ci trzej mężczyźni w Palikrowach nie mogłem się dowiedzieć, gdyż słuch o nie zaginął, a wypadki inny wzięły obrót, niż tego się spodziewano w klasztorze.

Przez całą noc wartownicy czuwali przy oknach, obserwując ruchy bandytów, którzy stali po dwóch, w bramie ukryci za murem, oraz w szopie. Kazimierz Sołtysik był bardzo niespokojny, sądził słusznie, że do obrony klasztoru nie mamy dostatecznej ilości amunicji ani broni. Nie było mieszkańców Malinisk, którzy mieli broń maszynową, mało mieliśmy granatów ręcznych. Nie wyobrażałem sobie również, byśmy przez dłuższy czas mogli się bronić. Tej nocy nie spałem, budziłem się co chwilę, bo mi się zdawało, że zaraz granaty przez okno do mej celi padać będą. O godzinie czwartej rano odprawiłem mszę świętą, myśląc, że odprawiam ją po raz ostatni.

Niedziela dwunastego marca to najcięższy dzień dla klasztoru i jego mieszkańców. O godzinie piątej rano, mimo zapowiedzi bandytów, że użyją siły i wejdą do klasztoru, był spokój. Inżynier Sołtysik wysłał gońca do miasteczka na wywiad. Były wiadomości niepomyślne, upewniliśmy się, że niestety mamy sprawę z Niemcami, gdyż dowódcą bandy ukraińskiej był kapitan niemiecki. Łudziliśmy się nadzieją, że napadu na klasztor nie będzie, albo że Niemcy przyjdą nam z pomocą i rozpedzą bandytów. Cóż powiedzieć możemy tym ludziom, którzy tłoczą się na korytarzach i pytają co będzie? Nikt z nas nie umiał na to odpowiedzieć.

Tymczasem obserwatorzy na wieży kościelnej oznajmili, że trzy auta z armatami poszły w stronę Palikrów. Nie wiedzieliśmy, co to ma znaczyć. Dopiero później dowiedzieliśmy się o przeznaczeniu tych armat. W tym samym czasie, co i na klasztor, gotował się napad na Palikrowy; przy tym użyto armat na bezbronną wioskę.

Przed godziną dziewiątą, w chwili rozpoczęcia napadu na klasztor, chcieli bandyci jeszcze z nami prowadzić rozmowę, wywoływali ludzi do okien, chodząc grupami po dziedzińcu klasztornym. Posypały się słowa wyzwajające ze strony bandytów i odgrażanie, że nie długo siedzieć będziemy w klaszorze. Jakaś dziewczyna z Wołnia, słysząc te szyderstwa, nie wiedziała jak na nie reagować, chwyciła karabin i zaczęła nim w oknie wygrażać bandytom, pomimo ostrych zakazów z naszej strony, by niczym nie prowokować, ale czekać cierpliwie na bieg wypadków.

W chwilę potem odezwał się karabin maszynowy i pierwsze pociski posypały się w okna parteru i piętra klasztoru od strony miasteczka, zza muru, w pobliżu ochronki. W niedługim czasie wszystkie okna były ostrzeliwane. Wtedy mieliśmy pierwszą ofiarę napadu w klaszorze. Dwudziestoletni młodzieniec Alfred Huckman wyjrzał przez okno z sali nad furtaa, został ugodzony w samo czoło, tak że drgnął tylko i oddał Bogu ducha. Długa kałuża krwi rozlała się na podłodze i była widoczna do końca mego pobytu w Podkamieniu.

Gdy ludzie usłyszeli strzały, nie wiedzieli co czynić, ogarnął ich popłoch. Dzieci i kobiety podniosły płacz. Zaprowadzano je do środkowych zabudowań klasztoru, na tak zwane ruiny, by zabezpieczyć przed pociskami. Księża udzielali rozgrzeszenia, wszyscy gotowali się na śmierć. Wszedłem do swojej celi, by spowiadać proszących. Ujrzałem na podłodze kawałki tynku odpadłego od ściany. Spojrzałem, w okno: trzy otwory od kul, które przeszły sam środek celi. Bóg wie, czy uniknąłbym rany lub śmierci, gdybym w tym czasie znajdował się u siebie. Trudno było mi pocieszyć i uspokoić tych, którzy z płaczem klękali przed kapłanem, by otrzymać rozgrzeszenie. Cieszyłem się później, gdy widziałem ich wszystkich żywymi.

Około godziny dziesiątej rozpoczęła się systematyczna strzelanina do furty klasztornej. Na śmiałków, którzy odważyli się przyjść do samych drzwi i rąbać je toporami, spadło z góry kilka granatów, jako pierwszy znak obrony klasztoru. Po chwili Kazimierz Sołtyś przybiega do mnie zmieszany, wołając: Ojczy, rzuciliśmy granaty, a tam byli Niemcy, źle z nami! — Opowiadał mi później Małejski z Pocajowa, że od tych granatów padło przy furcie klasztornej kilku bandytów.

Na górnym korytarzu poczęto robić barykady, utrudniające dostęp przez klatkę schodową. Szły ławki, sprzęty, kłody drzewa, worki zboża.

Śpieszono się z tymi pracami, gdyż obserwator z wieży doniósł, że bandyci zajechali tankiem przed furtaa i poczęli z niego strzelać granatami. W klaszorze wszyscy już byli na swoich stanowiskach obronnych.

Widząc, że na nic już nie mogę się przydać obrońcom, poszedłem na galerię z o. Leonem Podgórnym, aby pomyśleć o swojej duszy. Czekaliśmy już tylko chwili, kiedy banda wkroczy do klasztoru, aby nas wszystkich wymordować. Ostatnie przygotowanie na śmierć i różaniec pokrzepiły mnie na duchu; wyszedłem z galerii, by zobaczyć, co się dzieje na korytarzach. Strzelanina nie ustawała, a huk ogromnym echem rozchodził się po całym klaszorze.

Przez krótki czas siedziałem ukryty w kościele za ołtarzem świętego Jacka. Ledwie zdołałem znaleźć jakieś miejsce w górnej części ołtarza, słysząc, że strzelanina ustała, a w klaszorze rozlega się hałas, ruch, nawoływania i bieganie. W pierwszej chwili przyszło mi na myśl, że klasztor został zdobyty i zaczyna się mordowanie ludzi.

Jakże byłem zdziwiony, gdy po chwili usłyszałem spokojny głos Kazimierza Sołtysika, oznajmujący, że bandyci odstąpili od klasztoru, a ludziom pozwolono wrócić do swoich domów. Nie mogłem w pierwszej chwili zrozumieć, jak się to stało, że jesteśmy wolni, czy jaka pomoc klasztorowi przyszła? Otrzymałem wyjaśnienie, że przed chwilą przybyła delegacja z miasta, z gospodarzem Półtorakiem na czele, by oznajmić zamkniętym w klaszorze, że mogą wyjść spokojnie do swoich domów. Ludzie widząc, że bandyci odstąpili i odeszli poza mury, widząc tylko swoich, nawołujących do opuszczenia klasztoru, uwierzyli i poczęli śpiesznie wychodzić przez rozbitą już furtaa.

Rozmawiając później z Półtorakiem, rozumiałem, jak się to stało. Widział on, jak bandyci poczęli ustawiać w miasteczku armatę, skierowując ją na klasztor. Na zapytanie, co zamierzają czynić, otrzymał odpowiedź, że będą strzelać na klasztor, że rozbiją to gniazdo Lachów! Półtorak widząc na co się zanosi, a miał dwóch synów dorosłych w klaszorze, postanowił wszystkich ratować. Wziął ze sobą jeszcze dwóch gospodarzy i poszli we trzech do kapitana Niemca, prosząc go, by wydał rozkaz zaprzestania strzelaniny do klasztoru, dopóki ludzie nie wyjdą. Kapitan dał się skłonić prośbie delegacji i wydał pisemny rozkaz oblegającym bandytom, aby odstąpili od klasztoru. Mając ten rozkaz, pośpieszyli nasi delegaci, by wręczyć go dowódcy bandytów. Skutek był taki, że rzeczywiście bandyci odeszli od klasztoru, a delegaci przynieśli tę wiadomość oblężonym.

Znalazłszy się na korytarzu, widziałem jak ludzie biegali, śpiesznie unosząc swoje tłumoki. Przywołałem do siebie br. Jana Frączyka i oznajmiłem mu, że musimy szukać ratunku w ucieczce. Niech każdy brat ratuje się jak może, ja również opuszczam klasztor.

Ponieważ była jeszcze godzina czasu do wyznaczonego terminu wyjścia, wręczyłem bratu wartościowsze przedmioty do przechowania, przebrałem się w czysty habit, gdyż siedząc za ołtarzem byłem bardzo zakurzony. Br. Jan był spokojny, jak gdyby nie widział niebezpieczeństwa; zdawało mi się, że on z klasztoru nie ma zamiaru wychodzić. Inżynier Sołtysik pomagał mi wyszukiwać najpotrzebniejsze rzeczy, bym je mógł wziąć ze sobą.

Tymczasem rozeszła się rozpacзлиwa wiadomość, że ludzie w pośrodku wracają do klasztoru z krzykiem, by zamykać furte, ponieważ nastąpiła zdrada ze strony bandytów. Otóż ci, którzy pierwsi wyszli za mury, dostali się pod ogień karabinowy ukrytych bandytów. Padły już ofiary w zabitych na drodze i po ogrodach.

W pierwszej chwili znowu nie wiedziałem, co mam robić. Nastąpiło zamieszanie w klasztorze, ludzie bali się wychodzić i bali się zostać. Ks. Stanisław Fijałkowski nawoływał, aby zamknąć i umocnić furte, gdyż trzeba się bronić. Jednakże nie było już żadnego posłuchu, każdy działał na własną rękę, broniąc swego życia. Inżynier Sołtysik począł mnie nakłaniać, by czasu nie tracić i wyjść, lecz nie przez furte i główną bramę, ale od tyłu. Wielu ludzi wyszło tamtędy i nikt nie został zabity. Musimy tedy koniecznie wyjść z klasztoru, albowiem śmierć pewna czekała nas tutaj, a przez ucieczkę może się ktoś z nas uratować.

Wziąłem ze sobą tylko teczkę i udałem się na dół do stajni, chcąc się stamtąd wydostać za mury. Okazało się jednak, że przez stajnię przejść nie można, ponieważ drzwi były zawalone kamieniami. Wszedłem na parter i zauważyłem, że w sali obok pralni, spora gromada czeka na swoją kolejkę by wyskoczyć przez okno. Organista Karol Ptaszek stał przy oknie i pomagał ludziom schodzić na dół.

Przyszła wreszcie i kolej na mnie. Gdy wyskoczyłem przez okno w śnieg, o. Leon Podgórný szedł już wzdłuż muru z walizkami w rękach. Towarzyszył mu szesnastoletni młodzieniec Alfons Ochyra, który służył nam za przewodnika, znając mieszkańców Podkamienia.

Była godzina za piętnaście minut druga po południu. Ludzie w odstępach około dwudziestu kroków posuwali się powoli przed i poza nami. Mówiłem do chłopca, jakich to doczekaliśmy czasów, że księża

i ludzie muszą uciekać z klasztoru. Odpowiedział mi tym charakterystycznym zdaniem: Rodziców moich i brata już bandyci zabili, ale dobrze, że przynajmniej ja żyję. Uśmiechnąłem się w duchu na to powiedzenie i począłem myśleć, dokąd się mamy udać. O. Leon Podgórný zamierzał uciekać do Palikrów, podzielałem jego zdanie i szliśmy w kierunku na cmentarz.

Dochodziliśmy do końca murów. W odległości może pięćdziesięciu kroków od ochronki zauważyłem stojącego na ganku bandytę. Zrobiło mi się nieprzyjemnie, zawróciliśmy na lewo, kierując się w stronę głównego wejścia do kościoła i posuwając się samym wierzchołkiem wzgórza w stronę gościńca. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, jak niebezpiecznie było okrążyć mury, bo prowadziło to w zasadzkę tych bandytów, którzy postrzelali pierwszych uciekających z klasztoru.

Opatrzność czuwała nad nami, bo gdyśmy doszli do chat obok stojących, ujrzeliśmy gromadę ludzi biegnących ku nam. Wkrótce zrozumiałem powód tegoż; oto uciekali przed bandytą, biegnącym w długim kożuchu, nie dalej niż sto metrów od nas. Widząc go, szybko zawróciliśmy w dół, kierując się na budynek folwarczny, prawie biegiem po głębokim śniegu, oglądając się co chwilę za siebie. Bandyta szedł górą w stronę ochronki, gdzie znajdowała się główna komenda banderowców napadających na klasztor.

Zmęczeni i zziębnięci wstąpiliśmy na chwilę do Prokoscha Lorenza, aby odpocząć. Zastaliśmy w tym domu Zajączkowską i ta powiedziała nam, że u niej banderowcy demolują dom, wobec czego opuściliśmy to miejsce. Dowiedziałem się później, że gospodarz tego domu został po naszym odejściu zamordowany.

Mój przewodnik Alfons Ochyra miał zamiar prowadzić nas do Bieleckich, ale ominęliśmy ten dom, gdyż tam już byli banderowcy. Idąc przed siebie, weszliśmy do mieszkania pewnego Ukraińca, którego nazwiska nie znamy, i w tym domu zatrzymaliśmy się chwilę czasu. Poczęstowano nas pierogami. Wtedy weszła kobieta, Ukrainka, z tego samego podwórza i powiedziała nam, że widziała, jak bandyci prowadzili Mizerów i ją również wzięli. Była mocno przestraszona, ale ją zwolniono, gdyż ktoś za nią świadczył, że nie jest Polką.

Widząc, że nie ma warunków do zatrzymania się w tym domu, gdyż gospodarz bał się nas przechowywać, wyprowadził nas chłopiec na ogród. Wtedy usłyszeliśmy serię strzałów karabinowych. Jeszcze bardziej to nas przeraziło, dlatego szybko opuściliśmy to miejsce. Sta-

nęliśmy przed domem Śwista. Wtedy przyszedł Gross i powiedział nam, że ma dla nas bezpieczne schronienie. Skierował nas do Bazylego Marciniaka na Seńki. O. Leon Podgórní pozostał u Bocka. Nie mogliśmy bowiem obaj kapłani przebywać w jednym miejscu, aby gdy jednego bandyci zabiją, drugi mógł pozostać w parafii.

Stałem wreszcie przed bramą podwórza Marciniaka Bazylego. Alfons udał się do mieszkania, aby dowiedzieć się, czy zostanie przyjęty. W pierwszej chwili Marciniak oznajmił chłopcu, że nie może mnie przyjąć. Gdy mi to chłopiec oznajmił przy bramie, stałem przez chwilę bezradny, myśląc, że pójdę po prostu do lasu, gdzie ukrywa się wielu Polaków, by dzielić z nimi wygnanie, gdy nagle Marciniak wyszedł i z progu swego domu dał znak ręką, abym wszedł do jego domu. Pożegnałem się przy bramie z Alfonsem, który nie mógł, czy nie chciał pozostać ze mną, udając się na noc do swego krewnego.

Opowiadał mi potem, jak chodził przez całą noc: *Byłem u Grossa. W nocy widziałem błysk z wystrzałów w górnych oknach klasztoru. Noc była księżycowa. Widziałem jak banderowcy jeździli na koniach po lesie, poza kamieniem<sup>27</sup> i szukali Polaków. Rano w poniedziałek zaszedłem do Chudasa, ugościł mnie miską klusek. Wtedy to banderowiec wjechał na koniu na podwórze, widocznie zablądził, bo po chwili wyjechał na gościniec. Ja również opuściłem ten dom. Tego samego dnia rano spotkałem Józefa Póltoraka, zamierzał iść w stronę miasteczka, w kierunku Śwista. Odwiedziłem Hickmanów, matka wiedziała, że jej syn Alfred nie żyje. Udałem się następnie do Strychaluka, który żył dobrze z moim ojcem, ale ten, podał mi garnuszek mleka i powiedział: Uciekaj. W Nakwaszy widziałem duży tabor banderowców, stali przy gminie.* Tyle opowiedział mi ze swoich przeżyć Alfons Ochyra.

W mieszkaniu Marciniaka zastałem dwóch naszych młodzieńców z Podkamienia, których poznałem w klasztorze. Jednym z nich był Póltorak Andrzej, a drugim brat jego Mieczysław. Zrobiło mi się żalniej na duszy, że przynajmniej nie będę sam w gronie nieznanym mi ludzi. Byłem bardzo zmęczony i tak przygnębiony przeżyciami tego dnia, że nie mogłem nic mówić, tylko łyzy rześiste a gorące same poczęły mi napływać do oczu. Poczulem się jak rozbitek bezsilny,

<sup>27</sup> Jest to tzw. kamień dibelski, którym według legendy diabeł chciał zniszczyć klasztor.

którego przemocą wyrzucono z domu, zmuszając do takiego upokorzenia, jakim jest tułaczka po cudzych kątach.

Wkrótce zjawił się organista Karol Ptaszek, dobry znajomy Bazylego Marciniaka. Opowiadał, jak w jego obecności rozstrzelano dwie kobiety, które wychodziły z klasztoru i niosły tłumoki na plecach. Dowiedziałem się, że w domu Wróblewskiego zostało zabitych dziewięć osób. Ratowały się ucieczką, ale połapano na drodze i zapędzono do tego domu na rozstrzelanie. Sprawdziła się wiadomość o zabiciu Mizerów, ocalał tylko czternastoletni Tadeusz i maleństwo w objęciach zabitej matki.

Przygotowano mi posłanie w osobnym mieszkaniu. Marciniak ofiarował się czuwać przez całą noc, mogłem więc spokojnie odpoczywać. Tak oto przeżywałem pamiętny dzień dwunastego marca. Czy zdołamy kiedykolwiek dowiedzieć się, jak inni mieszkańcy klasztoru ten dzień przeżywali? — Swoje przeżycia tego dnia opowie nam brat Marcin Kaproń:

*W nocy z soboty na niedzielę, ukrywaliśmy się w piwnicy gdzie była ślepa spiżarnia. W piwnicy tej przebywali ze mną: ojciec Mikołaj Wysocki, Wróblewski, Roman Szewczun i Sowiński z Pańkowic. Siedzieliśmy tam do godziny jedenastej w niedzielę, dopóki nie usłyszeliśmy strzelania do bramy. Inżynier Sołtysik przysłał wiadomość, że trzeba bronić klasztoru, dlatego mężczyźni mają wyjść z piwnic i wziąć karabiny do rąk. Wtedy wyszedłem na klasztor, a Marian Jurczenko, kucharz klasztorny, wyszedł razem ze mną. W tym właśnie czasie zabity został Alfred Huckman.*

*Gdy przyszła delegacja i przerwano strzelanie do klasztoru podano pismo, które czytał Wróblewski. W tym piśmie nawoływano, aby wszyscy opuścili klasztor, aby zostali sami księża i zakonnicy, gdyż banderowcy muszą zdobyć i opanować klasztor. Słyszcząc to ludzie z Wołynia sami przystąpili do otwierania furty. Gdy poczęły odryglowywać, powiedziałem, że nas wymordują. Wtedy słyszałem głosy: Niech was wybiją, my mamy żony i dzieci, musimy się ratować.*

*Skoro furta już była otwarta poczęto zabierać dzieci i bagaże i wychodzić za bramę. Wtedy usłyszałem strzały koło bramy. Kilka kobiet wróciło do klasztoru wołając, że to podstęp, że nie wolno wychodzić z klasztoru.*

*Była godzina druga po południu. Gdy wszedłem do celi, aby zabrać płaszcz, bracia pakowali swoje rzeczy. Powiedziałem, aby wszyscy*

uciekali. Brat Jan Frączyk ubrał się w nowy habit i powiedział: Jak mnie zamordują to przynajmniej będę pochowany w nowym habitcie. Podobno brat Jan ukrywał się przez trzy dni w grobowcu. Ponieważ myślał, że już w klasztorze bandytów niema, wyszedł z ukrycia i został zamordowany.

Brat Kryspin Rogowski zachęcał brata Marcina, aby tenże został, bo za późno się ratować, i sam pozostał w celi. Brat Garciasz Juźwa mówił, że ma upatrzone miejsce do ukrycia siebie, dlatego z klasztoru wychodzić nie będzie. Marian Jurczenko, kucharz, był w celi, pakował swoje ubranie, które chciał schować i prosił mnie, abym na niego czekał. Jednak czekać dłużej było niebezpiecznie, gdyż bandyci byli w klasztorze. Słyszałem strzelanie, krzyki, jęki! — Ksiądz Stanisław Fijałkowski chodził po korytarzu. Gdy zapytałem, co mam robić, powiedział mi: Życie ratować!

Opowiadał mi Roman Szewczun, że banderowcy weszli do celi księdza Fijałkowskiego i grzecznie pytali: Czemu ksiądz nie uciekał? — Bo nie miałem zamiaru — brzmiała odpowiedź. Później zarzucano księdzu, że on organizował Wołyniaków, że był ich dowódcą, dlatego został zamordowany.

Gdy wychodziłem — opowiada w dalszym ciągu brat Marcin — na korytarzu była cisza. Wszedłem po schodach do zakrystii i kościoła. obraz był odstonięty, świece się paliły, jakaś kobieta siedziała w kąci-ku i płakała. Strach mnie ogarnął, poszedłem szybko do okna, aby wyskoczyć z klasztoru. Gdy znalazłem się na dole, stała tam Mizdrowa i jej córka Jadwiga. Mizera Władysław wyrzucał przez okno poduszki i ubrania. Żona Mizery powiedziała mi, abym pomógł nieść te bagaże, zaraz mąż przyjdzie, pójdziemy do nas. Widząc, jak wielkie jest niebezpieczeństwo zajmować się tymi rzeczami, zostawiłem Mizerów, skończyłem z muru na dół i chciałem iść w stronę ochronki. W ochronce na ganku stał Władysław Fijałek, pomocnik brata Jana Frączyka przy pracach w kościele, i podawał znak ręką, abym poszedł na dół, bo w ochronce byli banderowcy. Wyszedłem kilka metrów na prawo od ochronki kiedy banderowcy zaczęli strzelać do mnie i biegli za mną. Uciekłem na podwórze Ukrainka koło ochronki na prawo. Otworzyłem drzwi do stodoły i zamknąłem za sobą. Z drugiej strony otworzyłem wrota i chciałem uciekać na Seńki, ale tam stało dużo furmanek i kręciło się sporo bandytów. Gdy to zobaczyłem już wrót nie zamykałem tylko ukryłem się w słomie. W niedługim czasie bandyci weszli do sto-

doły, a widząc z drugiej strony otwarte wrota, myśleli że uciekłem i w stodole nie szukali.

Ukryty w słomie usłyszałem kilka strzałów. W pobliżu stodoły, w której się ukrywałem, zabito Mizerów. Słyszałem jak Jadwiga krzyzczała: Panie, dobij mnie, o jej, dobij mnie, niech się nie męczę. Krzyzczała tak z pół godziny, później usłyszałem dwa strzały i wszystko ucichło. Tylko dziecko na rękę zabitej matki płakało. Wzięła je później jakaś Ukrainka.

Działo się to po godzinie czwartej po południu. Około godziny ósmej wieczorem przyszła do stodoły Ukrainka i zapytała: Kto tu jest? — Bracie, chodź do mieszkania. Odpowiedziałem że nie pójdę, bo lada chwila mogą napaść i zamordować mnie. No to dobrze — odrzekła — przyniosę kolację. Przyniosła mi kaszę jaglaną na mleku. Nie mogłem jeść, tylko dwie łyżki, bo była bardzo gorzka, chociaż od soboty wieczorem nic w ustach nie miałem, nie mogłem jeść tej kaszy, byłem bardzo zdenerwowany. Gospodyni odgrzebała słomę, uchyliła deski i znalazłem się w piwnicy, w której były ziemniaki oraz inne poskładane rzeczy.

W tej piwnicy rozłożyła materace na ziemniakach, dała mi płaszcz i tak przesiedziałem do rana, gdyż spać nie mogłem z powodu zimna. Rano o godzinie szóstej przyniosła mi kawy, chleba z masłem, ale go jeść nie mogłem, wypilem tylko pół garnuszka kawy. Dowiedziałem się, że w klasztorze wszyscy pobici.

Po jakimś czasie przyszedł do mnie Roman Szewczun i opowiadał z płaczem, że jego narzeczona Stanisława Kowalska została zabita. Również jej matka Maria Kowalska i siostra Janina Walichnowska. Władysław Kowalski, ojciec narzeczony był ukryty w stodole, i słyszał głos swojej córki: Tatusiu, chodź nas dobij! Roman Szewczun wziął się osobiście z Władysławem Kowalskim i od niego ma te wiadomości.

Pożegnał się ze mną z płaczem, że mu narzeczona zabito, ucałował mnie i powiedział, że przyjdzie do mnie we wtorek. Odwiedziła mnie również w poniedziałek Maria Pulczyńska, nauczycielka z Pańkowic, około godziny czwartej po południu. Pocieszyła mnie, że niedługo przyjdą Sowietci, że już są w Krzemieńcu. Powiedziałem jej, że posiedzę jeszcze do wtorku do południa, a potem wyjdę, choćby mnie zabić mia-no, gdyż tutaj nie wytrzymają moje nerwy.

We wtorek około godziny szóstej rano przyszła gospodyni i powiedziała mi z płaczem, że wszystkich Polaków wybiją, że szukają Polaków nawet po domach ukraińskich. Wydano ogłoszenie, aby Ukrain-

cy sami wydawali Polaków. Jeżeli banderowcy się dowiedzą, że ktoś z miejscowych Ukraińców przechowuje Polaka, najpierw zabiją Ukraińca za karę, a potem Polaka. Wobec tego gospodyni domu oznajmiła mi, że obawia się mnie ukrywać. Jej matka może sama zdradzić ze strachu. Już mówiła: Po co go trzymasz, niech idzie gdzie chce! Mnie mogą karabin przyłożyć do piersi, abym powiedziała, czy przechowuję Polaka. Jak znajdziemy to cię rozstrzelamy!

W takich warunkach dłużej być nie mogłem. Odmawiano mi już pomocy. W środę rano, piętnastego marca wyszedłem ze stodoły, aby się rozejrzeć, dokąd się udać? Jest godzina siódma. Prosiłem gospodynię, aby poszła do miasteczka i przyniosła mi wiadomości, czy i jakim sposobem mogę dostać się do Brodów. Przyniosła mi pożądaną wiadomość, że w miasteczku spotkała folksdojczyerów z Jańszyszcz, było ich siedem furmanek, jechali do Brodów. Ponieważ ci ludzie mnie znali, więc chętnie zgodzili się na to, abym się do nich przyłączył. Trzeba się było do nich dostać. Miałem się z nimi spotkać na Seńkach. Córka gospodyni prowadziła mnie, szedłem dwadzieścia metrów za nią dla bezpieczeństwa. Przechodziliśmy w pobliżu domu, gdzie było dużo banderowców, jedli, pili i tańczyli. Doszliśmy na Seńki przy gościńcu. Dziewczyna stanęła na drodze i dała znak ręką, abym się schował za dom stojący w pobliżu, gdyż fury folksdojczyerów szły pod eskortą bandytów. Wszedłem do mieszkania i oczom moim przedstawił się okropny widok: ojciec leżał zabity koło łóżka, dziadek koło stołu, babka na środku mieszkania, żona koło kuchni, a małe dziecko w kołysce, wszyscy w okropny sposób pomordowani. Gdy to zobaczyłem, zrobiło mi się w oczach ciemno. Wtedy dziewczyna mnie zawołała, abym szybko ładował się na furmankę, przykryto mnie kocem i tak jechałem. Eskortą idącą przodem nie zauważyła, że przyłączono mnie do konwoju.

Dojechaliśmy do Nakwaszy, gdzie stało wojsko niemieckie. Zatrzymano nas, nie wolno dalej jechać, rewizja. Ale folksdojczyerzy wytłumaczyli, że wiozą tylko swoje rzeczy, dali żołnierzom wódki i poprosili o niemiecką eskortę, która przeprowadziła nas do Suchowoli, a banderowcy wrócili do Podkamienia. Z Suchowoli do Brodów jechaliśmy sami, bo już było bezpiecznie.

W Brodach poszedłem do kościoła parafialnego i prosiłem księdza o pieniądze na bilet do Lwowa. Ksiądz proboszcz Józef Sługocki<sup>28</sup>

<sup>28</sup> Ks. Józef Sługocki, kapłan Archidiecezji Lwowskiej ur. w 1902 r., święcony w roku 1927, był katechetą w szkole dla dziewcząt w Brodach. Proboszczem był tam od

powiedział mi, że ojciec Marek Kras jest w ochronce u Sióstr Służebniczek. Poszedłem do ojca Marka. Ucieszył się, gdy mnie zobaczył, chociaż tak smutną przynosiłem mu wiadomość, że wszystkich w klasztorze pomordowano. Ojciec Marek Kras dał mi pieniądze na bilety i powiedział, że zaraz wyjeżdżamy. Gdy spożyliśmy obiad u Sióstr Służebniczek w ochronce, podjechała taksówka i wysiadł z niej ojciec Leon Podgórn. Gdy mnie zobaczył, wykrzyknął: To ty bracie, żyjesz? myślałem, żeś zamordowany. Wtedy we trójkę wyjechaliśmy z Brodów, dnia piętnastego marca, o godzinie trzeciej po południu. Na tym zakończył swoje opowiadanie brat Marcin Kaproń.

Tymczasem przebywałem u Bazylego Marciniaka w Podkamieniu na Seńkach. Pierwsza noc z niedzieli na poniedziałek przeszła spokojnie. Zaraz rano przyszedł do mnie ojciec Leon Podgórn. dałem mu pieniądze na drogę, zamierzał bowiem kierować się na Brody. Pożegnałem się z nim i widziałem, jak poszedł w stronę Nakwaszy.

Później dopiero, bo już po wkroczeniu wojsk bolszewickich do Podkamienia, opowiadał mi ksiądz Fedorowicz, grecko-katolicki proboszcz z Nakwaszy, jakie przejścia miał ojciec Leon Podgórn, który dwie noce spędził u niego na plebani. Oto nie wiadomo skąd dowiedzieli się bandyci a pobycie ojca Leona u księdza Fedorowicza i przyszli po niego. Trudno przewidzieć, co by się stało z ojcem Leonem, gdyby nie stanowczy opór żony księdza ruskiego, która nie wpuściła bandytów do pokoju, gdzie przebywali obaj księża. Chyba po moim trupie tu wejdzicie — powiedziała do napastników. Bandyci odeszli, a ojciec Leon na drugi dzień niemieckim autem wyjechał do Brodów. Tyle szczegółów z pobytu ojca Leona dowiedziałem się od księdza Fedorowicza z Nakwaszy.

Ojciec Leon Podgórn, na moją prośbę opisał swe przygody następującymi słowami:

Dnia 12 marca 1944 o g. 14 ej wyszedłem wraz z ojcem Józefem z klasztoru w Podkamieniu, skacząc przez mur klasztorny z małymi walizkami w rękę, udając się w kierunku na Seńki. Koło g. 17-tej rozeszliśmy się z ojcem Józefem na noclegi. Ja w towarzystwie niejakiej rodziny Gierulskich spędziłem noc w piwnicy domu jakiegoś kolejarza Polaka. Całą noc nie spaliśmy, będąc każdej chwili w pogotowiu do

roku 1937 ks. Emil Kobierzycki. Por.: *Schematismus Archidioecesis Leopoliensis Ritibus Latini MCMXXXVIII*, Leopoli 1938 s. 38.



dalszej podróży. Rano 12 marca koło g. 9-tej widziałem się z ojcem Józefem, z którym zamieniłem parę słów w domu niejakiego Ukraińca Marciniaka. Ponieważ nie mogliśmy być razem, bo każda chwila decydowała o wszystkim, ja w tej chwili pożegnałem się z ojcem Józefem i w towarzystwie pana Gierulskiego, przez pola udałem się do proboszcza w Nakwaszy Fedorowicza. U wymienionego księdza proboszcza spędziłem noc z 13 na 14 marca w zupełnym spokoju, pogrążony w twardym śnie do samego rana. Zaraz po obiedzie tego dnia tj. 14 marca zamknięty w pokoju odmawiałem brewiarz, nic nie wiedząc o tym, że w sąsiednim zaraz pokoju ów ksiądz proboszcz wraz ze swoją żoną zaciekle i zażarcie rozprawiał się z dwoma bandytami ukraińskimi, którzy przyszli po mnie z automatami w rękę. W momencie, gdy żona księdza proboszcza oświadczyła stanowczo, że raczej ona i jej mąż padną trupem, aniżeliby mnie miał zabrać ktoś z ich domu, bandyci oddalili się i opuścili plebanię.

Noc z 14 na 15 marca spędziłem w cerkwi w zupełnym ukryciu, spodziewając się, że w każdej chwili bandyci wrócą. Koło g. 9-tej 15 marca, zastawiwszy księdzu proboszczowi Fiedorowiczowi poświadczenie, że jemu i jego żonie zawdzięczam ocalenie i pożegnawszy się z nim bardzo po przyjacielsku, autem niemieckim, o które mi się postarał ksiądz proboszcz, wyjechałem z Nakwaszy w kierunku do Brodów.

O g. 12-ej przyjechałem do Brodów, gdzie u SS. Sercanek (?) [Służebniczek — poprawka o. Józefa Burdy] zastałem ojca przeora Marka. O g. 15-ej tego dnia, tj. piętnastego marca wraz z ojcem Markiem wyjechałem koleją. Ojciec Marek wysiadł z pociągu we Lwowie, ja zaś tym samym pociągiem jechawszy w dalszym ciągu, nazajutrz o godzinie dziewiątej, szesnastego marca znalazłem się w Tarnobrzegu w konwencie ojców Dominikanów.

Podpisano: O. Leon Podgórn.

Kiedy Marciniak przyszedł z porannych wywiadów, niewiele mógł powiedzieć o tym, co się działo w klasztorze, w ciągu tej nocy. Widział tylko leżące trupy pomordowanych Polaków. Dowiedziałem się, że Stanisława Schnitzerowa wraz z synem Stefanem została zabita. Nie żyją Niewiadomscy. Opowiadano również jak wozy i auta wylądowane łupem klasztornym szły w stronę Brodów.

Pierwszy dzień u Marciniaka przeszedł spokojnie. Nie pokazywałem się wcale poza mieszkaniem, tylko od czasu do czasu miałem łączność z Józefem Półtorakiem i z jego bratem Mieczysławem którzy

mogli wychodzić, gdyż otrzymali od Marciniaka ruskie dowody osobiste. Dwie córki Marciniaka czuwały dniem i noc na zmianę na niewielkim obok pagórku, wypatrując, czy nie idą czasem w tę stronę bandyci. Raz tylko zmuszony byłem schronić się na strych, ponieważ przyszli na podwórze jacyś ludzie zamawiać konie u Marciniaka, celem wyjazdu na wywiad.

Byłem przebrany po świecku, gdyż habit i płaszcz Marciniak przechowywał w ulu. Gdybym umiał mówić po ukraińsku, odważyłbym się z podobnym dokumentem wyjść do miasteczka, by się czegoś więcej dowiedzieć. Bez znajomości języka skazany byłem na siedzenie w domu. Były takie wypadki, że bandyci legitymując ludzi, jeżeli nie okazali dokumentów, wymagali, aby się przeżegnać i mówić pacierz. Oto do czego się posuwano. Wielu Polaków, jak później się dowiedziałem, uczyło się ruskiego pacierza, by móc się, na wypadek wylegitymować.

Druga noc, z poniedziałku na wtorek, u Marciniaka przeszła spokojnie. Gospodarz tylko nie zmrzył oka, czuwając. Widząc, jak wielkim jestem ciężarem, oraz dla większej ostrożności, postanowiłem zmienić miejsce pobytu, udając się do pobliskiego folwarku, aby tam jakiś czas przebyć w ukryciu.

Ubrany w staroświecki kozuch i czapkę, podpasany rzemykiem, z kijem w rękę, podobny byłem do wieśniaka, a ludzie spotykając mnie, nawet nie zwracali uwagi. W takim przebraniu po raz pierwszy, od chwili ucieczki z klasztoru, wyszedłem poza domostwo, kierując się z Marciniakiem w stronę folwarku. Gdyśmy weszli na wzgórze, oczom moim odsonił się piękny widok na klasztor, opanowany przez bandytów. Trudno było mi się pogodzić z tą myślą, że inni gospodarze tam urzędują, rabując mienie Polaków i mordując niewinnych.

Na folwarku było cicho, nie było widać żywego ducha. Wstąpiliśmy do chaty stróża. Niestety, stróż tego folwarku, czy jakiś inny urzędnik, Ukrainiec, nie chciał mnie przechowywać, mimo próśb Marciniaka, tłumacząc się, że do folwarku przyjeżdżają często bandyci i Niemcy. Wobec tego postanowiłem szukać schronienia w Nakwaszy, u staro Olszańskiego, który był dobrym znajomym w klasztorze. Posłałem naprzód chłopca do niego, sam czekając ogrodzie. Po chwili zjawił się przy mnie, ale z wystraszonej jego miny wyczytałem, że nic mi nie pomoże. Bał się bardzo, tłumacząc się brakiem odpowiedniego mieszkania, oraz bliskim sąsiedztwem Ukraińców, za których ręczyć

nie może. Chciał mnie prowadzić do ruskiego księdza Fedorowicza. Bałem się jednak przechodzić przez środek wioski, gdzie był ruch największy. Podziękowałem Olszańskiemu, uspokoiłem go jak mogłem, nie wiedząc o tym że go już więcej nie zobaczę. Po wkroczeniu bolszewików zginął w czasie nalotu.

Wróciłem do Marciniaka z tym przekonaniem, że na drugi dzień da się coś zrobić, ale co, nie wiedziałem. Na noc z wtorku na środę poszedłem spać do stajni. Okryty futrem i zaszyty w słomie czułem się dobrze, gdyż organista Karol Ptaszek i obaj Półtorakowie czuwali.

Tymczasem strzały armatnie dniem i noc przypominały nam, że front się zbliża, że przecież taki stan, w jakim obecnie się znajdujemy, długo trwać nie może. Przychodziły wiadomości, że bolszewicy są już niedaleko, kilka kilometrów od Podkamienia, że tylko czekać, kiedy przyjdą. Chodziły nawet wieści, jakoby patrole sowieckie docierały do Podkamienia, ale żadnej pewnej wiadomości nie było.

I tak doczekaliśmy środy. W tym dniu Marciniak przyniósł mi trochę wiadomości. Trupy pomordowanych Polaków zostały pochowane na cmentarzu przez Ukraińców. Opowiadano, co później stwierdziłem jako fakt, że pewna kobieta z Palikrów wstała spośród trupów w chwili, kiedy miano ją złożyć do grobu; można sobie wyobrazić, jakie było zdziwienie grabarzy. Kobieta, jakoby ze snu przebudzona, pytała się, gdzie jest i czy jej nie zabijają. Potem wstała i powoli poszła do swojej wioski. Fakt ten potwierdziła jej córka w rozmowie ze mną później, po wkroczeniu bolszewików.

Położenie moje u Marciniaka było coraz cięższe. Ludzie z Podkamienia, a nawet z sąsiedniej wioski wiedzieli, gdzie się ukrywam, niektórzy nawet przychodzili mnie odwiedzać, co oczywiście niepokoiło i mnie i Marciniaka. Żona Marciniaka poszła do Nakwaszy radzić się księdza Fedorowicza, co trzeba robić w mojej sprawie, może on da pomoc. Nadmieniłem Marciniakowi, że dnia następnego na pewno zmienię miejsce, a nawet umawiałem się z organistą, że pójdziemy na Brody, a po drodze znajdziemy jakiś przytułek na te parę dni, gdyż wedle naszych przypuszczeń powinien już front się przybliżyć, a wtedy banda opuści Podkamień.

W najcięższym dla mnie czasie, kiedy nie widziałem już sposobu dalszego ukrywania się, Opatrzność przyszła mi z pomocą. Przed wieczorem tego samego dnia tj. we środę przybiega chłopiec, syn organisty, z wiadomością, że bandyci opuścili Podkamień. Taką wiado-

mość przyniósł z miasteczka Ukrainiec niejaki Twardochleb, u którego przechowywał się chłopiec. Chcąc podzielić się tą wiadomością przybiegł do swego ojca, a nawet chciał zabrać go do swego domu. Wiadomości tej sam chłopiec nie wymyślił, a więc coś musi być na rzeczy. Od razu nabraliśmy innego ducha. Marciniak w tej chwili poszedł na zwiady, aby upewnić się o tym.

Nie upłynęło pół godziny, wraca nasz gospodarz z ojcem Mikołajem Wysockim, którego spotkał, a mimo że nie znał go przedtem, zatrzymał. Dowiedziawszy się, że ma przed sobą księdza, przyprowadził go do swego domu, a sam udał się po wiadomości do urzędu gminy. Ucieszyłem się widząc ojca Mikołaja przy życiu. Opowiadał o swoich przygodach, jak ukrywał się w stodole pewnego Ukraińca, jak dłużej tam wysiedzieć nie mógł z powodu zimna. Że poszedł szukać schronienia u stróża cerkiewnego, teraz szedł do Nakwaszy, aby stamtąd dostać się do Brodów. Ojciec Mikołaj nie chciał zostać Podkamieniu, bał się bardzo bolszewików.

Potwierdziła się wiadomość o wycofaniu się bandytów. Został tylko komendant. W klasztorze nie było nikogo. Wielki ciężar spadł mi ze serca. Radzono mi stanowczo poczekać jeszcze parę dni, nie spieszyć się do klasztoru, ale wpiery zbadać, co się tam dzieje.

We czwartek rano Marciniak dostał się do klasztoru. Nie zastał tam nikogo, tylko jakaś kobieta chodziła po celach za rzeczami. Dowiedziałem się wtedy, że w klasztorze znajdują się trupy pomordowanych naszych braci i ludzi świeckich. Marciniak odniósł widocznie przykre wrażenie z tej wizyty odbytej w klasztorze, tak że z jego opowiadania nie miałem pojęcia o całości wyglądu klasztoru. Opowiadał natomiast, że kościół nie jest zniszczony. Cudowny Obraz Matki Boskiej na ołtarzu zasłonięty, tylko w zakrystii i w chórze zakonnym wszystko było poprzewracane. Ornaty wisiały nietknięte, tylko kapa biała była odarta z podszewki, a czarna kapa całkiem zniszczona. Również dwa czarne ornaty były odarte z aksamitu, jak później sam się przekonałem. Wszystkie obrusy i nakrycia z ołtarzy były zdjęte i zaniezione do cerkwi.

Ponieważ bandyci odwiedzali jeszcze klasztor przychodząc po kilku z miejscową ludnością ukraińską na rabunek, bałem się pokazywać, by nie wpaść w ich ręce. Jednak nie mogłem wytrzymać dłużej i po południu we czwartek wybrałem się z organistą do klasztoru. Po drodze nie spotkaliśmy nikogo. Mijając opustoszałe domostwa, do-

szliśmy do Tywoniuka, do którego wstąpił organista, ja zaś zbliżałem się do klasztoru, idąc od strony wielkiego kamienia. Przy studni, na skrócie drogi zatrzymał mnie Artych, tłumacząc, że nie jest bezpiecznie udawać się do klasztoru, gdyż co pewien czas [wracali] tam bandyci. Właśnie teraz są w klasztorze, a więc wpadłbym w ich ręce.

Gdym stał chwilę na drodze, uderzył mnie przykry widok. Jakaś Ukrainka uwijała się po drodze, ciągnąc z klasztoru zdobycz, dwa ogromne tobołki, oraz walizę. Nie mogła naraz unieść ciężaru, więc biegła ad jednego tłumoka do drugiego, posuwając się w ten sposób ku swemu domostwu. Rabunek szedł w całej pełni, a ja stałem na drodze bezradny. Droga do klasztoru była wydeptana jak klepisko, a co później stwierdziłem, że ze wszystkich stron klasztoru były podobne drogi

Ponieważ nie miałem najmniejszej chęci spotkać się z bandytami, zawróciłem. Organista tymczasem zamówił dla mnie mieszkanie u Tywoniuka, dokąd miałem się przenieść w piątek, by mieć klasztor w pobliżu. Z ciężkim sercem wracałem do Marciniaka. Od kapliczki św. Rocha udałem się pod górę, w stronę lasu, gdyż na drodze zauważyłem furmankę. Przeczucie mnie nie myliło. Zrównawszy się z furą, w odległości stu kroków widziałem doskonale siedzącego na wozie bandytę z karabinem zwróconym lufą do góry. Patrzyliśmy na siebie wzajemnie. Obok bandyty siedziała dziewczyna, a młody parobczak powoził. Jechali do klasztoru na rabunek, jak się można domyśleć. Szybko zbiegłem z góry i ukrywając się za budynek wpadłem do Marciniaka, gdzie opowiedziałem o swoich przygodach. Zrozumiałem, że jeszcze za wcześnie, że nie mogę wyjść z ukrycia:

W piątek pożegnałem ojca Mikołaja Wysockiego, który udał się piechotą do Brodów, ja zaś z organistą zmieniłem sobie mieszkanie, przenosząc się do Tywoniuka. Idąc po drodze spotkałem patrol niemieckich żołnierzy, posuwających się powoli jeden za drugim w stronę lasu i pytających się, czy nie ma tu w pobliżu bolszewików. Bolszewicy byli więc niedaleko. Strzały armatnie słychać było coraz bliżej.

Przez cały piątek przesiedziałem spokojnie u Tywoniuka. Dopiero w sobotę, dnia osiemnastego marca, odważyłem się pójść do klasztoru. Przebiegłem szybko korytarze, zaglądnąłem za klauzurę, oczom moim przedstawił się straszny obraz spustoszenia. Wszystko porozwalane, drzwi potłuczone, w mojej celi książki rozrzucone po całej podłodze, zmieszane ze słomą, szkłem i brudem — obraz wstrząsa-

jący. Taki widok przedstawiał cały klasztor. Ludzie, których spotkałem w klasztorze byli to Ukraińcy, kończyli opróżniać do tego jeszcze czasu spiżarnię klasztorową, ciągnęli worki ze zbożem, oraz wszystko, co można jeszcze było zabrać.

Poszedłem z kilkoma mężczyznami na ruiny klasztoru. Niedaleko przy drzwiach leżał trup zamordowanego mężczyzny z Popowiec, krok dalej leżał młody Zygmunt Buczkowski, którego złapano w miasteczku i tu zabito, dalej na dużej przestrzeni rozwalin widniały trupy, ułożone na stosie wysokości ramion człowieka. Rozpoznać ich dobrze nie było już można, gdyż były przysypane z lekka śniegiem. Naliczono ich dwadzieścia sześć. Byli tam mężczyźni, kobiety z dziećmi na rękach, tulącymi swe małe główki do ramion matek, ksiądz proboszcz z Poczajowa Stanisław Fijałkowski z rozbitą głową i ręką, brat Kryspin Rogowski staruszek, brat Jan Frączyk, zakrystian, którego widocznie najpóźniej zamordowano, gdyż leżał na samym wierzchu na innych trupach z roztrzaskaną głową. Brat Garciasz Juźwa był zamordowany w miejscu ustępowym, leżał w zastygłej krwi. Widok był tak straszny, że żaden opis odtworzyć go nie jest w stanie. Takiego obrazu morderstwa nie widziałem jeszcze oczyma moimi.

Smutne miałem imienniny w niedzielę dziewiętnastego marca, nie zapomnę ich nigdy. Nie mogłem jeszcze pójść do kościoła, by mszę św. odprawić, gdyż wszyscy Polacy byli dotychczas w rozsypce, a należało zrobić porządek w kościele, przede wszystkim obejrzeć dokładnie, czy nie ma gdzie trupów w świątyni. Zarządziłem, aby kilku młodszych mężczyzn przeglądnęło dokładnie kościół, piwnice, strych i wieżę, czy nie ma gdzie śladów krwi. Okazało się, że nigdzie nie było trupów, tylko na ruinach klasztoru.

Na strychu kościelnym, a właściwie nad kaplicą św. Dominika uratowało się kilkunastu ludzi, którzy podczas napadu ukryli się tutaj, a potem bali się wyjść. Przez wszystkie dni posilali się tylko śniegiem. Ołtarz św. Jacka, za którym siedziałem ukryty w czasie napadu, był nie naruszony, byłbym więc tam bezpieczny, ale czy można tam było wytrzymać w zimnie i głodzie od niedzieli do czwartku? Czy bym nie zdradził poruszeniem lub w inny sposób swojej tam obecności? Teraz widzę, że Opatrzność zgotowała mi łatwiejszy sposób przetrwania, niż o tym myśleć mogłem, tych najtrudniejszych dni mojego życia.

Dopiero dwudziestego marca, w poniedziałek, udało mi się przeprowadzić do porządku wielki ołtarz, by odprawić mszę św. Hostie za-

chowały się, nie było natomiast ani kropli wina, poszedłem przeto do cerkwi i uzyskałem od kościelnego wino mszalne. Wyszędłem po raz pierwszy po napadzie z najświętszą Ofiarą Chrystusa, aby Krew Zbawiciela zmyła ludzkie zbrodnie dokonane w klasztorze i w całej parafii. Bóg dobry pozwolił mi doczekać tej chwili, podczas gdy tak wielu parafian podkamienieckich poniosło śmierć z rąk bandytów.

W czasie mszy świętej byłem spokojny. W klasztorze znajdowała się patrol niemiecka, złożona z dwunastu ludzi, którzy zwiedzali klasztor, pytając, kto dokonał takiego spustoszenia i morderstwa. Na odpowiedź, że to dzieło bandytów, poruszali tylko głowami. Zaraz po mszy świętej przyszedł wójt miejscowy Dmytro Kłamyszyn z ludźmi, aby zająć się pogrzebaniem zabitych w klasztorze. Ponieważ nie było na razie możliwości, by ciała zawieźć na cmentarz, uradziliśmy, by tymczasem złożyć je w podziemiach kaplicy na dziedzińcu kościelnym. Nie były jeszcze gotowe trumny dla księdza z Poczajowa i naszych braci.

Powoli zabierano się do wynoszenia ciał zamordowanych. Widzę ten obraz. Oto ciało zabitego leży teraz u wejścia do klasztoru, drugi trup na korytarzu dolnym z rozbitą głową, a tylna część czaszki zupełnie wyrwana, z postrzępionymi włóknami, okrwawiona.

Gdy się to dokonuje w klasztorze, dają mi znać, że już mamy Sowieców w Podkamieniu. Najpierw ukazał się jeden oficer na koniu, podjechał do wielkiego kamienia i wystrzał z karabinu dał znak, że można wkraczać. W niedługim czasie dwóch oficerów było przy furcie klasztornej, właśnie w chwili wynoszenia trupów. Na widok sowieckich oficerów niosący pobitych zostawili ciała i uciekli.

Pierwszym pytaniem oficerów było, kto pomordował tych ludzi? Otrzymali odpowiedź, że to uczynili bandyci. Musiałem opowiadać szczegółowo, co wiedziałem o napadzie na klasztor, a oni wszystko zapisywali, odnosząc się z wielkim oburzeniem na nacjonalistów ukraińskich, którzy według nich dokonali morderstwa niewinnych ludzi.

Uwolniony się od oficerów, udałem się do Tywoniuka. Gdy wyszedłem za bramę klasztorną, ujrzałem mnóstwo żołnierzy pieszych i konnych, udających się w stronę miasta wszystkimi drogami. Gdy przyszedłem do Tywoniuka, w mieszkaniu nie było jeszcze żołnierzy. W niedługim czasie kilkanaście samolotów niemieckich zaczęło krążyć nad lasem w pobliżu Niemiacza i rzucać bomby. Tywoniuk wyprowadził mnie na strych swego domu, gdzie w ciągu mniej więcej dwudziestu minut obserwowałem przez okienko, jak samoloty zniżały się

nad lasem i równocześnie rozlegał się olbrzymi wybuch. Gdy wszystko ucichło, dano mi znać, abym zeszedł na dół, albowiem już na podwórzu żołnierze sowieccy lokowali konie, a sami cisnęli się do mieszkania prosząc o posiłek. Żona gospodarza zajęła się przygotowaniem posiłku, ja zaś przyglądałem się żołnierzom sowieckim. Byli utrudzeni wycieńczeni i głodni.

Obawiałem się jakichś nieprzewidzianych zajść, uważałem, że lepiej w tym dniu nie wychodzi do klasztoru. Przesiedziałem u Tywoniuka do wieczora i nocowałem w jednym mieszkaniu z żołnierzami, którzy pokotem pokładli się na podłodze.

Zaczynało się dla mnie nowe życie, z nowymi cierpieniami pod rządem bolszewików. Objąłem straż nad kościołem i klasztorem, w którym na razie jeszcze zamieszkać nie mogłem.

### 3 Klasztor Ojców Dominikanów w Podkamieniu po napadzie bandytów ukraińskich, od dnia 20 marca 1944 r. do dnia 31 sierpnia 1944 r.

Przybycie bolszewików do Podkamienia nastąpiło w poniedziałek dwudziestego marca 1944 roku. Nie położyło to jednak kresu naszym trudom, jakie w dalszym ciągu ponosić musieliśmy pilnując kościoła i klasztoru w Podkamieniu. Zaraz na drugi dzień rozbito wejście do kościoła, skradziono obrusy z ołtarza, włamano się do tabernakulum. Ujrzałem komunikanty rozsypane na ołtarzu i brak było korporału. Naturalnie ani jednej świecy nie zostawiono. Wobec takiego stanu rzeczy musiałem trzymać Przenajświętszy Sakrament w zakrystii, dopóki nie zdołałem umocnić zamknięcia w kościele.

Zamieszkałem na organistowce, starając się wszelkimi siłami oczyścić klasztor i pochować pobitych, co mi szło bardzo ciężko, gdyż ani ludzi do pomocy dostać nie mogłem, ani też czasu odpowiedniego nie miałem, gdyż częste były naloty niemieckie i ludzie bali się wychodzić na cmentarz, gdzie właśnie padły bomby. Ciągła strzelanina i przez to utrudnione poruszanie się sprawiały najwięcej trudności. Narreszcie po długich trudach udało mi się pochować na cmentarzu naszych braci oraz wszystkich pomordowanych.

Mieszkając na organistowce słyszałem opowiadanie, co bandyci robili w piwnicy pod mieszkaniem, które zajmowałem. Zamordowano

tam w okrutny sposób siedmiu Polaków. Świadcami tej zbrodni byli Żydzi, ukryci w sąsiedniej piwnicy, dwóch Haraszów, żona starszego i siostra. Na drugi dzień po przybyciu bandytów, tj. w niedzielę dwunastego marca, usłyszano zza ściany w piwnicy jakąś rozmowę, potem pytanie: Polak? Polak — brzmiała odpowiedź. Lahaj to znaczy, kładź się. Później dał się słyszeć krzyk rozdzierający mordowanych nożem, czy też bagnietem. Podobne pytania i odpowiedzi słyszano siedem razy. Nie pomagały błagalne prośby i płacz jakieś dziewczyny o darowanie życia. Czyż to nie jest najwyższy stopień okrucieństwa, żeby zbrodniarz nie dał się ubłagać dziecku i zabijał dlatego, że jest Polakiem? Kobieta pewna przez dwadzieścia cztery godziny wydawała głuche rżenia, nie mogąc skonać. Kiedy morderca przestał wykonywać swą zbrodnię, przywołał do siebie jakąś kobietę, mówiąc do niej: Patrz, porachujemy, siedem. Tyle dowiedziałem się o strasznej zbrodni w piwnicy organisty dokonanej w tym czasie, kiedy ludzie uciekali z klasztoru, a bandyci jednych strzelali po ogrodach i drogach, a innych, którzy dali się schwytać, w tak okrutny sposób mordowali. W piwnicy znaleziono wanienkę, do której spływała krew mordowanych ofiar, ziemniaki krwią oblane, oraz dokumenty znanego w Podkamieniu Juliana Pajewicza. Słyszałem, że w wszystkie pomordowane osoby były odarte z odzienia.

Tyle oto szczegółów zdażyłem zanotować z opowiadania starszego Harasza, Żyda z Brodów, ukrywającego się w czasie napadu w piwnicy organisty Karola Ptaszka.

Opowiadał mi Paweł Trznadel, jak rodzina jego: Maria, Irena, Franciszek i Olga, przechodziła czas napadu bandytów w Podkamieniu. Świadcami był Bronisław Iłowski, który przebywał razem z tą rodziną:

*Była sobota jedenastego marca 1944 roku wieczorem. Piwnica pod kościołem, po lewej stronie, koło Bożego Grobu. W piwnicy był grobowiec, w grobowcu same kości. Miejsce dwa i pół metra kwadratowego, było nas piętnastu ludzi. Było tak duszno, że niemożliwością było tam siedzieć. Brat Jan Frączyk wywołał nas na nabożeństwo do kościoła. Po nabożeństwie pozostaliśmy przez całą noc w klasztorze. W domu byliśmy około godziny dziesiątej. Nikt nas nie zaczepiał. Będąc w domu wstąpił do nas Józef Simon z Malinisk. Szedł do kościoła na sumę, widział, jak jechało około dwustu banderowców na koniach. Nikt nie zwracał na niego uwagi.*

*Siedzimy chwilę — opowiada Paweł Trznadel — i słyszymy, jak zaczęły grać maszynki (karabiny maszynowe) po ulicy klasztornej, a myśmy się rozproszyli. Było nas około dziesięciu osób. O godzinie dziesiątej w niedzielę banderowcy zaczęli chodzić po domach. U Walichnowskich zabili matkę z dzieckiem, u Baczyńskich zamordowali siedem osób. Zabito tam Schnitzerową Stanisławę i jej córkę Jadwigę, zabito Stocką Marię i całą rodzinę Baczyńskich: matka, dwie córki i syn. Obok wymordowano rodzinę Świętojańskich: ojciec, matka i dwie córki. W rodzinie Skwarczyńskich zamordowano ojca i córkę. Banderowiec na córkę jeszcze żyjącą, wylał gorące mleko.*

Opowiada w dalszym ciągu Paweł Trznadel. *Dom mój bandyci podparli sztabą żelazną. Banderowiec dobijał się do drzwi, a myśmy (rodzina Trznadla) skryli się w mieszkaniu. wtedy banderowiec pobił okna karabinem i wrzucił granat ręczny do mieszkania. Szczęściem granat nie eksplodował, a myśmy byli obok w drugim mieszkaniu. Gdy bandyta odchodził, powiedział: Ja ich wszystkich pobił. Gdy banderowcy odstąpili od naszego domu, uciekliśmy do Szonerta i tam kryliśmy się aż do wejścia wojsk sowieckich. Na tym kończy opowiadanie swych przeżyć Paweł Trznadel, obywatel Podkamienia.*

Znana w Podkamieniu rodzina Schnitzerów została wymordowana. Pozostał przy życiu tylko szesnastoletni Feliks; ranny w nogę uciekł aż do Niemiacza i tam się przechował. O porwaniu jego ojca już powyżej wspominałem. Matka zginęła u Walichnowskich. Czternastoletnia Jadzia przebita nożem siedem razy w plecy, żyła jeszcze dzień cały, powtarzając swej babci te słowa: Nie przeklinaj babciu, nie przeklinaj! W ciężkich cierpieniach zmarła. Dziewiętnastoletni Wacław zginął zabity w czasie niedzielnej ucieczki z klasztoru.

O, tutaj, proszę ojca, zabili moją mamusię — mówi do mnie mały Kazik Szeremeta, pokazując trawą zarosłe miejsce w ogrodzie — Ja też byłem ranny, ale gdy bandyci odeszli, uciekłem.

Rodzina Krafta ocalała tylko dzięki temu, że posiada niemieckie nazwisko. Kiedy przyszedł do Krafta bandyta w towarzystwie Niemca, by wykonać morderstwo, Kraft począł się legitymować Niemcowi, a ten skinął ręką na znak, by go przy życiu zostawić. Zginęła tylko ukochana ich córka Helena.

Kiedy już ludzie poczeli wychodzić na świat, bo front się odsunął, przyszła po mnie furmanka z Palikrów, bym zaopatrzył chorych. Ci chorzy to nie dobici przez bandytów ranni, którzy dźwignęli się z po-

bojowiska. Wszystkie szczegóły, które [niżej] podaję zaczerpnąłem z opowiadań męczeńskiej wioski tych gospodarzy, którzy ocalili.

W tym samym dniu, kiedy na klasztor w Podkamieniu padały granaty z rąk bandytów ukraińskich, w Palikrowach mordowano Polaków: starców, kobiety i dzieci, oraz spalono trzydzieści domów. Około godziny dziewiątej poczęły padać pociski artyleryjskie na wioskę. Szerzył się popłoch wśród ludności, młodzież zbiegła do lasu, za uciekającymi poczęto strzelać z karabinów maszynowych. Wieś była otoczona przez bandytów. Miejscowi Ukraińcy poczęli rozsiewać wiadomości, że to front się zbliżył. Kiedy strzały armat zrobiły należyty popłoch wśród zdezorientowanej ludności, weszli bandyci do wsi i poczęli nawoływać, aby wszyscy ze wsi wyszli na łąkę, koło rzeczki, gdyż tylko w ten sposób uratują swe życie. Oczywiście dużo ludzi posłuchało nawoływań bandytów, zwłaszcza starcy, kobiety i dzieci i poszli na wskazane miejsce. Gdy już wszystkich spędzono na wskazane miejsce, rozpoczęło się legitymowanie. Ukraińcy zostali uwolnieni, a Polacy przeznaczeni na śmierć. O tej strasznej chwili masowego mordu niewiele mogłem zasięgnąć wiadomości. Ci, którzy wyszli cało spod trupów, nie byli zdolni do opowiadania, a innych świadków na razie nie było.

Oto w jaki sposób napad na Palikrowy przedstawia Ewa Jurczenko, naoczny świadek wypadków morderstwa Polaków: W Palikrowach, w niedzielę 12 marca 1944 roku, o godzinie dziewiątej rano wioska została otoczona przez banderowców. Byli oni ubrani w mundury niemieckie, w kozuchy z białymi pokrowcami. Strzelali z armat do kaplicy, ale nie trafili. Przez godzinę było słychać strzelanie. Zabili Lisowską i spalili dwa zabudowania. Na wsi zrobił się krzyk. Wieś wysłała swoich przedstawicieli do dowództwa banderowców. Posłani byli: Stanisław Krawczyk i Genowefa Jurczenko. Gdy wysłańcy zapytali, dlaczego strzelano do wsi, komendant banderowców odpowiedział, że w wiosce są bandyci, że tu byli partyzanci. Powiedziano posłańcom, aby z białymi chustkami przeszli przez wioskę i zwołali wszystkich Polaków na łąkę, a oni tj. banderowcy przejdą przez wioskę, zrobią rewizję w poszukiwaniu partyzantów. Wtedy Krawczyk odpowiedział: Możecie szukać, ale u nas bandytów, ani partyzantów niema. Jeżeli znajdziecie, możecie nas zaraz pozabijać. Komendant na to odpowiedział: My was bić ni będziemy, bo wy nam nie potrzebni, my chcemy bandytów.

Idąc przez wieś mówiliśmy każdemu, że to są banderowcy, ale nie chciano temu wierzyć. Mówiliśmy, aby nikt nie szedł na łąkę. Waszkiewicz Grzegorz i Kutniak Mikołaj byli z nami u komendanta i slyszeli wszystko, co się mówiło. Obaj porozmawiali ze sobą. Waszkiewicz poszedł w jedną stronę, a Kutniak w drugą stronę wioski. Waszkiewicz prowadził banderowców przez pół wioski, pomimo że wiedział iż prowadzi bandytów. Poszedł z nimi do kryjówki gdzie przebywali Polacy. Podczas gdy banderowcy byli zajęci kryjówką, Waszkiewicz w dogodnym momencie odszedł od nich i począł uciekać do lasu. Bandyci strzelali do niego, gdy już był daleko.

W kryjówce chronili się: Jurczenko, stryjeczny brat, żona i dwie córki, oraz drugi Jurczenko, ojciec, syn, synowa i dziecko. Był tam jeszcze Ziombra i syn jego Józef. Bandyci zaprowadzili ich na łąkę. Chodzili po całej wiosce i ściągali Polaków na łąkę, mówili, że proszą na „mityng” — zebranie. Gdy ktoś uchylał się od pójścia we wskazanym kierunku, grozili śmiercią na miejscu. Niektórzy Polacy sami tam szli, zebrali się w gromadę i szli na „mityng”. Bandyci wszystkich zapraszali na łąkę, również Ukraińców. Dopiero gdy tam zebrało się bardzo dużo ludzi poczęto ich legitymować. Odbywał się wtedy sąd. Polacy stanęli wzdłuż rzeczki, Ukraińców brano na bok. Polacy przeznaczeni na zabicie widzieli nad głowami swoimi krzyż w powietrzu.

Jurczenko Jan, mąż opowiadającej Ewy, pozostał w mieszkaniu, gdyż bolała go noga, a Franio poszedł na łąkę. Kiedy dokonano już tam morderstwa, bandyci z Ukraińcami miejscowymi udali się do wsi. Banderowcy poczęli mordować, kogo znaleźli w ukryciu i palić domy Polaków. Miejscowi Ukraińcy służyli tylko za przewodników, a mordowali bandyci. Gdy przyszli do Jurczenki Jana, ten siedział na łóżku. pytali, czy jest Polakiem, odpowiedział, że tak i został zabity na łóżku.

W międzyczasie ukraińscy bandyci chodzili pomiędzy pomordowanymi na łące i mówili: Kto żyje, niech wstaje i idzie do domu. Byli tacy, którzy się podnosili i tych natychmiast zabijano. Jurczenko Stefania leżała między trupami, przyszedł do niej bandyta, trącił ją i powiedział: Wstań, ty Ukrainka, idź do domu. Ona nie wstała. Drugi bandyta mówił: Ona zabita i odeszli. Którzy zaś poruszali się, tych dobijano. Z trupów ściągano ubrania i buty. Ze wsi zabrano krowy, konie, świnię i pognano w nieznanym kierunku. Około godziny czwartej po południu bandyci opuścili Palikrowy; wioska, się paliła.

Na łące zostali żywi: Jurczenko Stefania, Bieguszevska Jadwiga, Piątkowska Jadwiga, Niedźwiecki Franciszek, Jurczenko Stanisława i Dańczuk Mieczysław, który wyszedł z łąki na podstawie dokumentów Piątkowskiego Ukraińca.

Na drugi dzień, to jest trzynastego marca był pogrzeb pomordowanych. Jurczenko Jan i jego syn Franio pochowani na cmentarzu w Palikrowach bez trumny. Synowie Jurczenki Stanisław i Marian zamordowani w Podkamieniu. Stanisław zamordowany w piwnicy organisty. Marian trzymał się swojej ciotki Wilczyńskiej. Wilczyński uciekł z dwoma córkami. Marian zabity ze swoją ciotką Wilczyńską.

Tyle zdołałem uchwycić z opowiadania Ewy Jurczenko z domu Iwaniec, która była świadkiem morderstw w Palikrowach.

W sąsiedniej wiosce Niemiaczu, dokąd zbiegli niektórzy z Palikrów, ukazały się ogłoszenia w języku ukraińskim: Śmierć temu, kto Lacha ukrywać będzie!

Cmentarz w Palikrowach w jednym dniu wielką przestrzenią pokrył mogiłami: słychać tam codziennie, o każdej porze dnia płacz i jęki wdów i sierot. Nie ma w Palikrowach rodziny polskiej, w której by nie brakło jednej, dwóch, trzech i więcej osób. Zostały nieletnie sieroty, przez sąsiadów i krewnych przygarnięte.

Ktokolwiek jechać będzie z Podkamienia do Palikrów, niech zatrzyma się przy cmentarzu, okrytym mogiłami krwią świeżą przesiąkniętymi, a potem niech przy moście spojrzy w lewo, tam nad rzeczką, dwieście metrów od miejsca, gdzie stanął, lała się polska krew niewinna, a, rzeka krwią płynęła. Do tego czasu jeszcze ślady krwi nie zatarte wraz ze szczątkami potarganych ubrań, rozrzuconych czapek, które oglądałem własnymi oczami.

I za cóż tobie, mały Franio Jurczenko, chłopcze o błękitnych oczach i rumianej twarzyczce, okrutny zbrodniarz odebrał życie, Za ca zamordował ci ojca, a brata twego Mariana strzelał na ruinach klasztoru, a drugiego brata Stanisława w piwnicy organisty szerokim na trzy palce przebijał nożem? — Cóż winni jesteście ludzie, że w ten sposób bracia wasi, na polskiej ziemi, żyjący, za wszystko dobro otrzymane w ciągu wieków, wam się odpłacają? — O Boże, ukróć mękę Polskiego Narodu i nie zapomnij niewinnej krwi Jego dzieci! — Ześlij opamiętanie wszystkim sprawcom tak wielkiego morderstwa!

Że Bóg kierował krokami moimi, pomyślałem, wyjeżdżając ze wsi, bo przecież przychodziły mi myśli, czy nie uciekać do Palikrów z rozbitego klasztoru.

Kiedy się rozglądałem wśród swoich parafian, widziałem, jak wielu ich było brak. Na cmentarzu podkamienieckim powstały ogromne mogiły. Zabitych w klasztorze pochowaliśmy w trumnach, natomiast pochowani przez wójta Kłemyszyna Dmytro i jego ludzi Ukraińców, po odkopaniu mogiły przedstawiali przykry widok: Jak kogo rzucono do dołu, tak leżał, pomieszczone ciała ludzkie w rozmaitych pozycjach, mężczyźni porzucani razem z kobietami, gdzie głowa jednego tam drugiego nogi. Jedni leżeli na wznak, inni twarzą do ziemi. Taki oto sprawili pogrzeb tym, których znali może bardzo dobrze, a z którymi może nawet byli spokrewnieni. Nie zapomnę obrazu tej rozkopanej mogiły!

Klasztor znowu powoli zaludniać się zaczął. Przybywali ludzie z Brodów, Pieniak i Huty Pieniackiej. Postanowiłem wtedy zamieszkać w klasztorze.

Z chwilą wkroczenia bolszewików do Podkamienia zaczęły się aresztowania Ukraińców podejrzanych o sprzyjanie banderowcom. Wtedy to podniósł się głos narzekania i płaczu, chociaż dotychczas ani jeden Ukraińiec nie zginął. Zaczęły tedy chodzić delegacje Ukraińców i prosić o pomoc polskiego księdza, aby świadczyć za nimi, że oni nie są banderowcami. Takie świadectwa zawsze wydawać mogłem, gdyż rzeczywiście miejscowi Ukraińcy nie brali krwawego udziału w masowym mordzie ludności polskiej. Dlatego za pomoc mnie samemu udzieloną oraz innym Polakom, ukrywającym się w domach ukraińskich — służyłem jak mogłem swoją pomocą. Ponieważ proszono mnie o wydawanie polskich metryk, aby nie iść do wojska bolszewickiego, tego czynić nie mogłem, natomiast dawałem zaświadczenie, że ślub odbywał się w kościele i to wystarczało, aby mogli się dostać do wojska polskiego, oczywiście dla tych, którzy mieli żony Polki.

Należy przyznać na tym miejscu, że ludność ukraińska z Podkamienia zachowała się wobec Polaków zupełnie poprawnie i bez zdrady. Nie słyszałem o wypadku, aby który Ukraińiec w Podkamieniu wydał banderowcom przechowującego się w jego domu Polaka. Sam przecież doznałem ich pomocy. Po opuszczeniu klasztoru w domu ukraińskim poczęstowano nas posiłkiem, chłopiec z tej rodziny przeprowadził nas przez ogrody, bezpiecznie, z dala od drogi. Marciniak z żoną, dwiema córkami i zięciem, z narażeniem siebie czuwali nade mną od niedzieli do czwartku, a nawet piątku. Ukraińscy sąsiedzi, także z innej wioski, przynosili mi mleko do Marciniaka. Chociaż stróż we folwaraku obawiał się mnie przechowywać, ale też nie zdradził mojej obec-

ności. Chłopiec stróża prowadził mnie do Nakwaszy i ułatwił spotkaniu z Olszańskim. U Tywoniuka przebywałem od piątku do wtorku.

Po wkroczeniu wojsk bolszewickich Ukraińcy miejscowi okazali mi pomoc w zaopatrzeniu pierwszych potrzeb w żywności. Wszyscy wiedzieli, że ukrywam się u Marciniaka, nikt jednak nie zdradził mego tam pobytu, dzięki czemu ocalałem. A może i sami banderowcy po prostu nie chcieli mnie pozbawiać życia, ponieważ ustąpiłem z klasztoru. Podobnie ojciec Mikołaj Wysocki przebywał u stróża cerkiewnego, brata Marcina przechowywała Ukrainka, a jej córka prowadziła na Seńki i ułatwiła przyłączenie się do transportu.

Ojciec Leon Podgórní przechował się u księdza proboszcza ruskiego w Nakwaszy. Żona księdza w bohaterski sposób broniła wstępu bandytom do mieszkania, gdzie przebywał ojciec Leon, dzięki czemu uratował życie. Cała działalność na klasztor była tylko ze strony bandytów, albo banderowców, jak ich nazywano.

Władze sowieckie nie przestawały czynić dochodzeń w sprawie masowych mordów w Podkamieniu. aresztowaniami Ukraińców zajmował się kapitan lekarz. W czasie rozmowy z nim dowiedziałem się, że odkrył on całą kancelarię banderowców w Podkamieniu. Między tymi dokumentami znajdował się spis Polaków, którzy zasądzeni byli na śmierć i ponieśli ją w czasie napadu na klasztor. Były tam również rozporządzenia i raporty bandytów z czasu ich pobytu w Podkamieniu. smutne w swoim okrucieństwie czasy napadu banderowców na klasztor w Podkamieniu mają swe dokumenty dla historii.

Tymczasem niepokój w Podkamieniu wzrastał, ponieważ bolszewicy, którzy odrzucili Niemców przeszło trzydzieści kilometrów, zaczęli się cofać, tak że front stanął w odległości pięciu kilometrów od klasztoru, we wsi Maliniska. Zrozumiałem, że może być źle z klasztorrem, zwłaszcza że na wieży kościelnej bolszewicy zrobili sobie punkt obserwacyjny.

Przewidywania moje sprawdziły się dokładnie. W niedzielę, dnia czternastego maja o godzinie szesnastej minut trzydzieści, niemiecka artyleria zaczęła ostrzeliwać kościół i klasztor. Padło w tym dniu siedemdziesiąt sześć pocisków artyleryjskich, w obrębie klasztoru. Wieża w dwóch miejscach została przebita, obie wieżyczki nad kaplicami św. Dominika i św. Jacka spadły, wybito dwa duże otwory obok górnych okien w kościele przy sklepieniu. Nie dalej niż trzy metry od głównego ołtarza rozerwały się dwa pociski, czyniąc duży otwór w

posadzce. I tutaj cudowną wprost siłą kierowane wszystkie odłamki poszły na boki, w ściany i sufit, zostawiając w całości wielki ołtarz, z którego spadła tylko jedna figura od wstrząsu, gdyż śladu odłamków widać nie było. Cudowny Obraz Matki Bożej usunął się tylko ze srebrnych ram swoich, niczym nie uszkodzony. W kościele pełno było gruzu, tak, że odprawiać mszę św. musiałem w zakrystii.

Władze bolszewickie zarządziły ewakuację Podkamienia i okolicznych wiosek. Polacy z Podkamienia mieli się udać do Krzemieńca. Po ostatnim strzelaniu na klasztor ludność zrozumiała, że może być ciężko tak blisko frontu i poczęła, śpiesznie wyjeżdżać. Nie wiadomo było, kiedy nastąpi uderzenie i czy Podkamień nie ucierpi w czasie ataku, bo nikt tego przewidzieć nie mógł. Po naradzie z panem Janem Topilką z Brodów, postanowiłem wyjechać do Krzemieńca i uwieźć ze sobą cenniejsze rzeczy kościelne. Topiłko Jan ofiarował się stróżować nad zamkniętym kościołem i opustoszałym klasztorrem, w którym kwaterowało kilkunastu żołnierzy. Do pomocy Topiłce zostawiłem Henryka Kobyłańskiego z Huty Pieniackiej, który przetrwał cały czas w klasztorze, aż do odsunięcia Niemców za Lwów.

W wigilię Wniebowstąpienia Pańskiego, dnia 17 maja 1944 r. wieczorem uwiozłem Cudowny Obraz Matki Boskiej wraz ze wszystkimi aparatami kościelnymi do Krzemieńca, gdzie łaskawej gościnności i bardzo serdecznej opieki doznałem od księdza dziekana Dominika Wyżykowskiego, u którego na plebani zamieszkałem.

Godne uwagi i wzruszające było przywitanie Cudownego Obrazu Matki Boskiej w Krzemieńcu. Gdy złożono w opakowaniu Obraz przed zakrystią, ksiądz dziekan Wyżykowski zapłakał, przyklęknął, ucałował i polecił umieścić Obraz w zakrystii. W zacisznym tym miejscu Obraz Matki Najświętszej oczekiwał chwili, aby znowu, na krótki wprawdzie czas zajaśnieć na swej stolicy w Podkamienieckiej świątyni.

Życie w Krzemieńcu zaczynało płynąć normalnym trybem, był spokój, huk. armat tutaj nie dochodził, doznałem więc prawdziwego odpoczynku nerwowego po tylu zmaganiach i przejściach. Podziwiałem piękne okolice Krzemieńca, często rozmyślałem nad przeszłością wspańskiego Liceum, gdzie w pięknej świątyni nieraz odprawiałem mszę św. W wolnych chwilach odwiedzałem swoich parafian, by się zapoznać z ich życiem, pocieszyć, dopomóc w czym mogłem. Wspólna niedola zbliża ludzi i serca ofiarnymi czyni.



Najbardziej dokuczliwym w Krzemieńcu dla moich parafian był brak mieszkań, często po kilka rodzin cisnęło się w jednej izbie, zgrupowanych z całym swoim majątkiem. Z powodu złych warunków życia począł się rozwijać wśród moich ludzi tyfus plamisty. Na górzystym cmentarzu krzemienieckim wzrosły mogiły podkamienieckich parafian. Spieszyłem zawsze na każde zawołanie do swoich owieczek z posługą duchowną, dopóki sam nie zostałem złożony ciężką chorobą tyfusu plamistego. Wtedy myślałem, że przychodzą i moje ostatnie dni życia. Przez trzy tygodnie walczyłem z gorączką. W czasie choroby odwiedził mnie ojciec Karol Trybalski<sup>29</sup>, udzielając ostatnich sakramentów świętych. Pod koniec choroby doszła mnie radosna wieść, że front odsunął się od Podkamienia i ludzie wracają do swoich siedzib. Było to dnia 15 lipca.

Dzięki widocznej opiece Bożej nade mną, począłem powoli dźwigać się z choroby, ale byłem tak osłabiony, że dopiero dnia dwudziestego ósmego lipca, mogłem powrócić do Podkamienia. Na pożegnania, ksiądz Dziekan wręczył mi następujący dokument:

*Diecezja Łucka Krzemieniecki Dziekan Dnia 28 lipca 1944 r.*

*Do Przewielebnego Ojca Józefa Burdy  
przeora Ojców Dominikanów w Podkamieniu.*

*Niniejszym upoważniam Przewielebnego Ojca Przeora do objęcia pod opiekę duchowną katolików zamieszkałych na terenach obłści: Żytomierskiej, Winnickiej, Kijowskiej i Kamieniec Podolski, z wszystkimi prawami pasterskimi i proboszczowskimi, aż do odwołania.*

*Ks. Dominik Wyżykowski (pieczęć okrągła) Dziekan Krzemieniecki.*

Uderzyły dzwony kościoła w Podkamieniu, a głos ich majestatyczny, i jak gdyby z drugiego świata, rozchodził się szeroko i daleko po polach i wioskach, oznajmiając ludowi, że na Świętej Górze Różańcowej rozpoczyna się nowe życie. Pierwszym moim staraniem po powrocie do Podkamienia było umieszczenie Cudownego Obrazu Matki Boskiej na Jej ołtarzu, co też wkrótce nastąpiło. Od tego czasu przy każdej mszy św. obraz był odsłonięty, a wierni, którzy przeżyli, dzie-

<sup>29</sup> O. Karol (Franciszek) Trybalski urodził się 10 października 1911 r. do nowicjatu wstąpił w 1927 r., a pierwsze śluby złożył 25 września 1928 r., święcenia kapłańskie przyjął 12 czerwca 1936 r. Po wojnie przedostał się do Francji, gdzie związał się z ruchem księży robotników. Następnie wyjechał do Ameryki Południowej, gdzie wkrótce porzucił zakon i kapłaństwo.

kowali Matce Najświętszej za wszystkie otrzymane laski za Jej wstawiennictwem.

Dnia 2 sierpnia powitałem ze łzami radości Przewielebnego Ojca Marka Krasa, który przejął ode mnie ciężar zarządzania parafią, w tak smutnych i krwawych czasach, jakie Opatrzność przeznaczyła mi przeżywać. Niech Bóg Najlepszy pochwalony i uwielbiony będzie we wszystkim!

Z Podkamienia wyjechałem dnia 31 sierpnia 1944 roku na dłuższy odpoczynek do Lwowa. Wyjeżdżając, zabrałem ze sobą Cudowny Obraz Matki Boskiej, który następnie, po jakimś czasie, przewieziony został do Krakowa i umieszczony w kaplicy nowicjatu<sup>30</sup>.

Ponieważ przełożeni zarządzili, aby w Podkamieniu pozostał tylko jeden ojciec dla pilnowania parafii oraz klasztoru, nie wróciłem do Podkamienia, tylko przeniesiony zostałem do Żółtkwi, gdzie przebywałem od dnia 5 października 1944 r. W Podkamieniu obecnie przebywa o. Marek Kras, przeor i proboszcz parafii.

Zachęcony przez J. E. księdza biskupa Eugeniusza Baziaka, obecnego arcybiskupa metropolitę lwowskiego oraz przez swoich współpracowników zakonnych, spisał na wieczną rzecz pamiątkę naoczny świadek o. Józef Maria Kazimierz Burda, dominikanin.

Żółkiew, dnia 12 grudnia, 1944 r.

#### **4 Klasztor Ojców Dominikanów w Podkamieniu od dnia 31 sierpnia 1944 r. do dnia 9 czerwca 1945 r.**

O. Marek Kras opisał swój pobyt w Podkamieniu do dnia świętego czerwca 1945 roku, następującymi słowami:

Przeżyłem we Lwowie zdobywanie miasta przez bolszewików i po kilku dniach po zdobyciu Lwowa wyjechałem do Podkamienia. W tym samym dniu — a wyjechałem po obiedzie ze Lwowa do Brodów autem bolszewickim — z Brodów furmanką, i o godzinie dwunastej w nocy byłem już w klasztorze w Podkamieniu. Zastałem o. Józefa, który cztery dni przedtem wrócił z Krzemieńca. O. Józef uradował się niezmiernie kiedy mnie zobaczył otworzywszy drzwi. Pogwarzyliśmy

<sup>30</sup> Od roku 1959 obraz ten znajduje się w dominikańskim kościele św. Wojciecha we Wrocławiu.

trochę i w jego stancji, którą sobie urządził zdrzemnąłem się na kanapie może ze trzy godziny i wstałem rano, aby dla siebie znaleźć jakąś możliwą celę i przygotować, aby jako tako mieszkać. Łóżko się jakieś znalazło, za słomą musiałem chodzić, a pościel pożyczana z Podkamenia.

Na trzeci dzień po moim przyjeździe przyjechał jeszcze o. Mikołaj. Klasztor zupełnie otwarty, więc zabrałem się do tego, aby pozamykać wejścia, żeby nikt w nocy nie mógł się dostać. Z wielką trudnością do tygodnia udało mi się pozamykać wejścia do klasztoru. Szyby wszystkie i w kościele i w klasztorze pobite; 76 pocisków niemieckich padło na kościół i na klasztor i to większego kalibru. Z daleka się zdaje, że ani kościół ani klasztor nie uszkodzony, ale na miejscu widzi się dopiero straszną ruinę. Chciałem cośkolwiek zabezpieczyć, ale niestety nie dało się nic zrobić, bo nie było kim robić. We wrześniu o. Józef wyjechał do Lwowa na odpoczynek, a 1 listopada o. Mikołaj za San. Zostałem sam. Od czasu do czasu przyjeżdżał Topiłko, aby drzewa narznąć i urąbać i pozalać zakupy i sprawunki, to w Brodach, to we Lwowie. Nieźle mi było, parafianie nie zapominali, przywozili co mogli, chociaż sami także mieli niewiele, ale mimo wszystko można było żyć.

Ja nie miałem zamiaru wyjeżdżać z Podkamenia i nie myślałem o tym. Wprawdzie nagabywali mnie bolszewiki, kiedy jadę do Polski, to ja im zawsze jedno i to sarno powtarzałem, że jak wszyscy rodacy co do jednego wyjadą z parafii, to wtedy będę musiał wyjechać. I na tym się zawsze kończyło. Aż tu 8 czerwca, już byłem po obiedzie i mówiłem brewiarz w ogrodzie, zajeżdżają furmanki z bolszewikami — ale myślałem, że przyjechali po zboże, bo w klasztorze, na dole, zrobili skład zboża z kontyngentu. Nie zwracałem uwagi, weszli bowiem do klasztoru. Za chwilę jednak wraca jeden z nich, idzie do ogrodu, przystępuje do mnie i oświadcza: wyjeżdżaj w Polsce! — Ja się go pytam, co to ma oznaczać, a on odpowiada — taki jest przykaz. Wróciłem z ogrodu na górę i powiadam do nich, że ja nigdzie nie jadę i nie mogę jechać i zostawić parafian bez księdza. A oni na to nie zważają, tylko swoje — pakuj się i ujeżdżaj. — Ja powiadam, że ja nie mogę się tak prędko spakować, a oni swoje, że mi pomogą — ja do nich, że złodziei do pomocy nie potrzebuję — nagałem im głupstw ale wszystko po polsku do nich mówiłem — a w końcu oświadczyłem im, że nie mogę zostawić Najświętszego Sakramentu i dzisiaj

nie pojedę, bo u nas jest taki zakon, że Najświętszy Sakrament można spożyć tylko rano i to na czczo, a ja już nawet po obiedzie więc nie mogę jechać. Jeżeliście mnie chcieli dzisiaj wyrzucić, to trzeba było zawiadomić mnie dzień przedtem. Oni jednak swoje to samo — ujeżdżaj! Wtedy przystąpiłem do nich blisko i mówię podniesionym głosem — macie karabiny — to możecie mnie zaraz zastrzelić i strzelajcie — ja dzisiaj nie pojedę!

Cofnęli się w tył i wyszli na korytarz i zaczęli radzić, co robić — nie boitsia, każe strzelać go! Po dłuższej chwili znowu przychodzą i oświadcniają, że dzisiaj, ze względu na Najświętszy Sakrament mnie zwalniają, ale na drugi dzień rano muszę ujeżdżać. Na drugi dzień rano o godzinie szóstej już byli z furmankami i przed południem opuściłem Podkamenie<sup>31</sup>.

Dnia 9 czerwca 1945 r., w uroczystość błogosławionych Dziewic Diany, Cecylii i Amaty, w kościele ojców dominikanów została odprawiona ostatnia msza św., a przeor i proboszcz parafii o. Marek Kras musiał opuścić Podkamenie.

<sup>31</sup> Przed wyjazdem o. Marek Kras sporządził wspomniane we wstępie listy parafian zamordowanych 12 marca 1944 r. Zawierają one nazwiska i najważniejsze dane personalne: w Podkameniu — 77 osób; w Palikrowach — 211; w Pankowcach 23. Ponadto 34 osoby zabite w innych dniach. Zob. ADK Pk 169. Listy te przedrukowli: Cz. A. Świętojański i A. M. Wiśniewski, *Możemy wszystko przebaczyć*, s. 127–152.

JÓZEF BURDA, OP

## The Last Tragic Chapter in the History of the Dominican Convent at Podkamień in 1943–1944

### S u m m a r y

The last tragic chapter in the history of the Dominican convent at Podkamień near Brody in the Voivodship of Stanisławów (now Ukraine) was written in the last weeks of German occupation, in the summer of 1944. The walled-up convent became a refuge for hundreds of Poles, Catholics of the Latin rite, who fled from their homes as stories of atrocities committed by armed Ukrainian nationalists in Volhynia (Wołyń) were going their rounds. At one point, when German police threatened to blow up the convent buildings the majority of the refugees had to leave. Those who did stay — an estimated 26 persons, adults and children, including 3 religious and one priest — were rounded up by the military and killed. Altogether in that period about 300 people were killed at Podkamień and its neighbourhood. This account of the events at Podkamień between the end of September 1943 and 2 August 1944 was written by an eye-witness, Fr. Józef Burda OP (1905–1978), who managed to get away from the embattled convent and went into hiding, like a great many other Poles, with a Ukrainian family.

Fr. Burda's report is complemented by a short testimony of Fr. Marek Kras OP (1890–1962), the last prior of Podkamień. In it he recounts the last months in the history of the convent before its liquidation by the Soviet authorities on 9 June 1945.

*Translated by A. Branny*